



Między Październikiem a Czerwcem. PRL 1956–1976

Dyskusja z udziałem Błażeja Brzostka, Jerzego Eislera, Andrzeja Friszke, Łukasza Kamińskiego i Konrada Rokickiego. Dyskusję wprowadził Grzegorz Waligóra.

Grzegorz Waligóra – Motywem przewodnim 19 numeru „Pamięci Sprawiedliwości” jest środkowy PRL lat 1956–1976, z wyłączeniem kryzysów społeczno-gospodarczych. Nasza dyskusja będzie wprowadzeniem czytelnika do tego tematu. Na początek chciałbym Panów poprosić o ustosunkowanie się do powszechnej opinii, że jest to okres najslabiej zbadany w dziejach PRL, zwłaszcza w porównaniu do okresu poprzedniego 1944–1956 czy także schyłkowego – po 1976 r. Panowie wszyscy zajmowali się tym etapem dziejów PRL, badali go na różnych płaszczyznach. Pytanie, czy rzeczywiście tak jest? A może to czasy po prostu nieciekawe, w których dzieje się mało interesujących rzeczy, dlatego badania są mniej intensywne?

Andrzej Friszke – Uważam podobnie: jest to mało zbadany okres, mimo że bardzo ważny – chociażby dlatego, że trwał od 1957 do 1976, a właściwie do 1980 r. Trwał – bez obawy załamania, mimo kryzysów 1968 czy 1970 r. Stabilizacja opierała się na tym, że niemal nikt nie wierzył w możliwość zasadniczych zmian. I rzeczywiście, takich możliwości nie było. Trudno mi powiedzieć, dlaczego jest to okres mało zbadany, bo mnie osobiście bardzo interesuje i uważam, że obiektywnie on jest niezwykle interesujący. Braki są ogromne, poczynając od bardzo ogólnej wiedzy o hierarchii i funkcjonowaniu najważniejszych instytucji państwa i partii, na procedurze podejmowania różnych ważnych decyzji właściwie we wszystkich wymiarach skończywszy. Owszem, dzięki pracom Antoniego Dudka, a także trochę moim, wiemy co nieco o mechanizmach polityki wyznaniowej. Dzięki książkom przede wszystkim Jerzego Eislera wiemy, jakie były mechanizmy reagowania na kryzys w 1968 i 1970 r., ale są to momenty wyjątkowe. Powstaje pytanie, jak funkcjonowały instancje państwa i partii poza okresami kryzysowymi. Jaka była współzależność na linii np. Biuro Polityczne – Sekretariat – wydziały KC – ministerstwa, organizacje społeczne, władze wojewódzkie itd. Dzięki książce Konrada Rokickiego dowiedzieliśmy się sporo o tym, jak wyglądały relacje między literatami a organami władzy, ale do zbadania pozostaje mechanizm kształtowania polityki kulturalnej w szerszym zakresie, np. ustalania planów wydawniczych, nadzoru nad wydawnictwami i redakcjami, kreowania polityki cenzury itd. Nie mamy niestety opisanego tego systemu w żadnym chyba ważnym obszarze jego działania, dotyczy to też MSW

i podległego mu aparatu, ale również podejmowania decyzji gospodarczych, sposobu ich egzekwowania, mechanizmu awansowania itd.

Stosujemy mocne określenia dla opisanego systemu bez wątpienia monopartyjnego i niedemokratycznego, ale w gruncie rzeczy wiele z tego wisi w powietrzu, są oparte na bardzo ogólnych lub wycinkowych obserwacjach.

Ogromnym tematem do opracowania są interakcje między systemem władzy a społeczeństwem, w tym postawami ludzi, jak mówiłem, przekonany o trwałości świata, w którym przyszło im żyć.

Jerzy Eisler – Pozwolę sobie zacząć od tego, że nie można zarzucać historykom, iż zawodowo zajmują się akurat takim a nie innym tematem z powodów koniunkturalnych. Nie mam jednak najmniejszych wątpliwości, że gdybym najpierw napisał książkę o Grudniu '70 roku, a dopiero później o Marcu '68, to w 1991 r., najpewniej nikt mojego nazwiska nie poznałby ani w Izraelu, ani w Stanach Zjednoczonych, ani w Europie Zachodniej. Kiedy ukazywała się moja pierwsza książka o 1968 r., to żartowałem sobie, że jedna trzecia jej nakładu „wyemigruje”. I myślę, że mniej więcej jedna trzecia, może jedna czwarta nakładu rzeczywiście została wywieziona z Polski. Są tematy atrakcyjne i naukowo chodliwe, za sprawą których można sobie, że tak brzydko powiem, stosunkowo szybko „wyrobić nazwisko”, zwłaszcza gdy rzecz dotyczy spraw, wydarzeń lub zjawisk o wymiarze ponadregionalnym, a czasem wręcz światowym: Holocaust, „Solidarność”, stalinizm, stan wojenny itd. Dla badań „wewnątrzpolskich” takim blokiem tematycznym jest też pierwszych dziesięć lat powojennych, kiedy to opór społeczny był relatywnie najsilniejszy, w tym także opór zbrojny, a jednocześnie władza komunistyczna miała totalitarne ambicje zawładnięcia duszami. Tymczasem książka o środkowym PRL z natury rzeczy musiałaby być bardziej stonowana czy może nawet nieco na swój sposób monotonna i mogłaby na przykład nosić tytuł „PRL-u dzień powszedni”. To była taka w miarę stabilna codzienność, zwyczajność, chociaż – jak mówił Marcin Zaremba – były to zarazem czasy nie tyle małej stabilizacji, ile raczej dużej destabilizacji. Ale wówczas z roku na rok zwiększała się liczba osób nieznaną inną Polską niż ta, w której przyszło im żyć. Na przykład dla mnie, gdy byłem dzieckiem, Władysław Gomułka był kimś obecnym w przestrzeni publicznej właściwie od zawsze. Jak sięgałem pamięcią w przeszłość, on był I sekretarzem. Szedłem do szkoły podstawowej – był nim, skończyłem ośmioklasową szkołę podstawową i poszedłem do liceum – był nim nadal. Gdybym się rok wcześniej urodził, to jeszcze maturę zdałbym „za Gomułki”. To jest coś takiego, co dziś młodym ludziom bardzo trudno jest wytłumaczyć, gdyż obecnie niemal po każdym wyborach następują przetasowania polityczne i zmiany na najwyższych stanowiskach w państwie. A przecież Gomułka poza tym był wcześniej – jeszcze w latach czterdziestych – sekretarzem generalnym Polskiej Partii Robotniczej. Tak samo długowieczny był Józef Cyrankiewicz, który bez przerwy przez 23 lata zasiadał w Biurze Politycznym i w sumie przez 21 lat był premierem. Myślę, że to oni dwaj przede wszystkim oraz może jeszcze Edward Gierek wyznaczają ciągłość środkowego PRL, gdzie – chociaż występowały te wielkie kryzysy, wstrząsy, zaburzenia społeczne (1956, 1968, 1970, 1976) – to jednak w swojej istocie system polityczno-społeczny w zasadzie się nie zmieniał. Oczywiście, możemy spierać się w nieskończoność, czy Czerwiec '56 i Październik '56 wpisują się w dzieje polskiego stalinizmu, czy już należą do następnego okresu. Nato-

miast potem następuje długie trwanie we względnym spokoju, któremu towarzyszy wszakże swoista rewolucja obyczajowa: poznawanie kraju za sprawą autostopu, w młodzieżowej muzyce – mocne uderzenie, czyli bigbit, w modzie – żywe kolory i swobodne stroje, chłopcy z długimi włosami i dziewczyny w krótkich sukienkach. Dla starszego pokolenia to był szok – ci młodzi ludzie, którzy mieli własny, odrębny kod kulturowy, którzy kompletnie nie rozumieli „Towarzysza Wiesława” i tej jego prząsnej, siermiężnej wizji realnego socjalizmu. Może zatem rzeczywiście nie za bardzo opłaca się zajmować środkowym okresem PRL, gdyż nie ma tutaj rewelacji ani fajerwerków? Oczywiście, stawiam to pytanie retorycznie, a nawet nieco prowokacyjnie. Czym innym wszakże jest na przykład badanie dnia codziennego w stanie wojennym, względnie w pierwszych latach powojennych, gdy naprawdę działo się wiele, a czym innym na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

Natomiast zupełnie nie wiem, czym tłumaczyć fakt, że tak popularna w odniesieniu do innych epok historycznych biografistyka w wypadku prac z zakresu historii politycznej Polski Ludowej jest tak słabo reprezentowana. W ciągu ponad dwudziestu lat – od czasu zapoczątkowania politycznego przełomu w Polsce – doczekaliśmy się zaledwie kilkunastu biografii tego typu. To nawet nie jest przeciętnie jedna książka na rok.

Konrad Rokicki – Profesor Friszke zarysował już tutaj stan badań, więc do tego już nie będę się odnosił, bo rzeczywiście trudno się zgodzić, że mamy co do środkowego Peerelu widoczne braki, w każdej niemal dziedzinie. Skupię się więc może na tym, dlaczego ten okres może być interesujący. Oczywiście, nie ucieknemy od hasła „mała stabilizacja” czy od dyskusji, na ile mała stabilizacja, na ile mała destabilizacja. Zgadzam się jak najbardziej z Marcinem Zarembą, że te wszystkie podskórne ruchy, które dzieją się w tym okresie, protesty robotnicze, strajki, strach przed podwyżkami, przed wojną itd. wpływają jednak na troszkę mniejsze poczucie stabilizacji, bardziej niż do tej pory nam się wydawało. Natomiast dla mnie osobiście ta epoka jest ciekawa, dlatego że następuje duże przewartościowanie w zakresie ideologii, idei i poglądów w społeczeństwie, i to w różnych warstwach, choć najbardziej wśród inteligencji. Bo zobaczymy, jak wyglądał Październik ’56, jak wyglądały hasła tego czasu. To były hasła w znacznej mierze socjalne, socjalistyczne, i wśród robotników, i wśród inteligencji, tam nie było buntu, totalnego buntu przeciwko systemowi, tylko chęć jego naprawy. A przez tych 14 lat rządów Gomułki mamy odejście w zasadzie wszystkich grup od socjalizmu: i młodzieży, i robotników, i (zwłaszcza) inteligencji. Z Gomułką i jego ekipą odchodzi od władzy to ostatnie pokolenie prawdziwych ideowych, wierzących w system komunistów. I to jest ciekawe właśnie: jak przebiegała droga tego odejścia, jak narastało to rozczarowanie, to wszystko się dzieje cały czas podskórnie w tej rzeczywistości. Przecież cenzura, kontrola nad informacją tłumili wszelkie takie głośne przejawy, przejawy rozczarowań. Chyba że państwu, a w zasadzie partii zależało na tym, żeby to nagłośnić, jak w przypadku wszystkich tych afer w świecie inteligencji i właśnie to dla mnie jest bardzo ciekawe. Te przemiany w zakresie ideologii.

Łukasz Kamiński – Chętnie podejmę polemikę. Moim zdaniem, można by zarysować dokładnie odwrotną perspektywę, jeśli bierzemy pod uwagę społeczeństwo jako całość i tutaj można by nawiązać do tego, o czym mówił profesor

Friszke, czyli do procesu przystosowania się. Właśnie – moim zdaniem – rok 1956 jako całość (oczywiście, gołym okiem jest to widoczne bardziej w Poznaniu), jak się przyjrzymy zwłaszcza prowincjonalnemu Październikowi, nie odbywa się pod hasłem naprawy, naprawy socjalizmu, tylko pod hasłem niepodległości, wyrzucenia Rosjan z Polski, powrotu Mikołajczyka itp., itd. Patrząc z kolei na Marzec i na Grudzień, to tam takich haseł właściwie w ogóle nie ma, są na marginesie tego ruchu. Moim zdaniem, jeśli nie mówimy o inteligencji i to jeszcze tej związanej z systemem, tylko o całym społeczeństwie, to widziałbym tę tendencję odwrotną – właśnie w kierunku przystosowania się.

Zgodziłbym się z ogólną diagnozą, że jeżeli mówimy o pracach poświęconych społeczeństwu oraz systemowi władzy to mamy niedosyt. Natomiast nie zgodziłbym się, że generalnie jest to najsłabiej zbadany okres PRL. Wspomniane już były stosunki państwo – Kościół – na pewno jest to lepiej przebadany okres pod tym względem niż na przykład lata osiemdziesiąte. Jeżeli weźmiemy pod uwagę prace dotyczące polityki zagranicznej, to trzeba powiedzieć, że to jest najlepiej zbadany okres. Najwięcej wiemy o polityce zagranicznej właśnie w okresie ponownych rządów Gomułki. Mamy prace m.in. o relacjach polsko-brytyjskich, polsko-francuskich, są opracowania o polityce wobec państw bloku wschodniego. Są szczególnie opracowania dotyczące np. relacji z Czechosłowacją w całym okresie, nie tylko w 1968 r. Natomiast rzeczywiście to, co jest kluczowe, czyli funkcjonowanie systemu władzy jest zbadane tylko w aspekcie kryzysów. Nie możemy analiz dotyczących wydarzeń z 1956, 1968 i 1970 r. traktować jako punktu odniesienia dla wyciągania wniosków dotyczących całego tego okresu. Podobnie o społeczeństwie, jego postawach, reakcjach najwięcej wiemy w momentach przesilen kryzysowych (oprócz wspomnianych można dodać kryzys berliński, kubański, okres wojny sześciodniowej), są dość liczne prace na ten temat. Brakuje analiz poświęconych funkcjonowaniu władzy i postaw społecznych w czasie PRL-owskiej „normalności”.

Błażej Brzostek – Zgadzam się i nie zgadzam. Żeby było ciekawiej, powiem, z czym się nie zgadzam. Wydaje mi się, że najmniej zbadanym okresem jest okres gierkowski, i uważam, że lata gomułkowskie są znacznie lepiej opisane, co zresztą nie jest bardzo zaskakujące. Im głębiej w przeszłość, tym jest ona lepiej poznana. Czy okres jest nieciekawym, jak Pan sugerował? I czy to na pewno „mała stabilizacja”? Co do tego mam wątpliwości. A stan badań? Ogólnie uważam, że on nie jest taki zły. Już fakt wystąpienia wielu kryzysów w tym okresie sprawia, że on jednak jest niezłe opisany, bo w pracach dotyczących kryzysów są obszerne części odnoszące się do szerszego kontekstu.

Najbardziej przeszkadza mi tendencja, chyba zresztą typowa dla polskiej historiografii czasów najnowszych, izolacji wydarzeń w Polsce od tła światowego. Nie chodzi mi o historię dyplomatyczną czy historię stosunków międzynarodowych, tylko o próby komparastyki. Tego prawie nie ma. A moim zdaniem, dla lat sześćdziesiątych to jest sprawa kluczowa. Lata te zaczynają się gigantycznymi konfliktami ideologicznymi i bliskością konfliktu zbrojnego o nieobliczalnej skali. Jest to wielki konflikt amerykańsko-radziecki, a następnie chińsko-radziecki, który zmienia sposób patrzenia na układ sił na świecie i powoduje pęknięcia w obozie socjalistycznym. Będzie to jednym z głównych kontekstów poczynań Gomułki, który od początku lat sześćdziesiątych swoją politykę wewnętrzną i zewnętrzną

na nakierowuje na konsolidację bloku. To jest skutek tych wielkich konfliktów. Innym jest odsuwanie w cień ideologicznego prymatu Związku Radzieckiego i to zarówno na Wschodzie, jak na Zachodzie. To znaczy, lewicująca młodzież zachodnia zaczyna się interesować Mao, zaczyna się interesować Castro, Ho Szi Minem, nawet Koreą Północną. Natomiast Związek Radziecki jest coraz mniej atrakcyjny. I ten proces będzie postępował. On wpływa także na działanie polskich inteligentów, dysydentów czy zawiedzionych marksistów, którzy też w tym kierunku spoglądają, na przykład kontaktują się z trockistami; a trockiści byli krytyczni wobec Związku Radzieckiego.

Następnie – wielki konflikt dotyczący relacji między państwem a Kościołem, wielki ideologiczny konflikt, który ma charakter publiczny, który naznacza epokę. Jest on zresztą opisany dosyć dobrze, ale chyba nie na płaszczyźnie relacji w Europie Środkowo-Wschodniej. A ten konflikt jest dla Gomułki tak ważnym problemem politycznym, że określa w dużym stopniu jego politykę, a raczej jej kosztownie. Gomułka obawia się o pozycję Polski w bloku socjalistycznym i boi się, że relacje z Kościołem będą traktowane na Kremlu jako osłabiające wewnętrzną stabilność Polski.

Wreszcie, co było wspomniane, na poziomie światowym zachodzi rewolucja cywilizacyjna i obyczajowa. Cywilizacyjna polega przede wszystkim na lotach w kosmos i otwarciu się niejako ludzkiej świadomości w kierunku przyszłości. Gdy spojrzymy na literaturę popularnonaukową lat sześćdziesiątych – we Francji, na Zachodzie, ale też na Wschodzie – to znajdziemy masę książek pod tytułem „Świat w roku 2000”. Była taka moda, ale też naukowe instytucje pracowały nad takimi wizjami futurystycznymi, cybernetyka była istotna, sądzono, że kosmos będzie kolonizowany. To wpisywało ludzką świadomość w zupełnie inną skalę, która nie występowała jeszcze na początku lat pięćdziesiątych. Zmieniało też ideologiczne napięcia. Dlatego dla Chruszczowa ważne było „dośnięcie i prześcignięcie”, a mniej sprawy czysto ideologiczne. On interesował się wyścigiem technologicznym.

I wreszcie wielki konflikt w bloku, chyba słabo opisany, o tzw. integrację gospodarczą. To znaczy konflikt, będący próbą wprowadzenia nowego planowania w całej Europie Wschodniej, w ramach którego kraje miały swoje specjalizacje gospodarcze i musiały się podporządkowywać blokowemu podziałowi pracy. W każdym razie były to problemy bardzo istotne dla rządzących PRL, problemy, które będą kształtować też ich myślenie o przyszłości, między innymi o rozwoju gospodarczym Polski.

Uważam, że epoka lat sześćdziesiątych jest dynamiczna i bogata w napięcia na wszystkich poziomach życia – i w tym wymiarze jest ona słabo opisana. Zakres pytań jest tak wielki, że w istniejącej literaturze odpowiedzi wciąż są ułamkowe.

Łukasz Kamiński – A propos potrzeby badań komparatystycznych warto zauważyć, że przełom roku 1956 powoduje, iż tak jak do tego roku wszystkie kraje bloku są z grubsza takie same, wszystko nawet wizualnie bardzo podobnie wygląda, to po 1956 zaczyna się proces różnicowania, oczywiście wciąż w ramach systemu (wyjątkiem jest Albania, która w 1961 r. zrywa z blokiem sowieckim). Te różnice są widoczne w zakresie polityki wewnętrznej, np. kwestii swobód pozostawionych społeczeństwu. Z tego punktu widzenia postulat badań porównawczych

jest bardziej istotny, ponieważ niestety często mamy tendencję, żeby upraszczać: jeśli tak było w Polsce, to tak musiało być w innych krajach bloku, co utrudnia na przykład zrozumienie bardzo ciekawej specyfiki drugiej połowy lat sześćdziesiątych w Rumunii, która staje się outsiderem, co prawda pozostając wewnątrz bloku.

Grzegorz Waligóra – Przejdźmy do tematu, który już został wywołany, czyli społeczeństwa polskiego. Mam tu na myśli grupę rządzonych, a więc osób, które były odbiorcą rządów komunistycznych w Polsce. Okres, o którym dyskutujemy, lata 1956–1976 to w sumie 20 lat, czyli czas, w którym dorasta całe pokolenie. Wiele osób, które uczestniczyły w sierpniowych strajkach latem 1980 r., urodziły się lub przynajmniej wychowały właśnie w tym środkowym PRL. To oni w ostatniej dekadzie PRL tworzyli napędową siłę ruchu związanego z NSZZ „Solidarność”. Czy zatem możemy powiedzieć, jak społeczeństwo polskie się zmieniało w przeciągu tych dwóch dekad? Czy można nakreślić zbiorowy obraz społeczeństwa polskiego w tym czasie? Na ile był on kształtowany przez propagandę, na ile przez zewnętrzne wpływy docierające do Polski?

Błażej Brzostek – Pasjonujący temat, wielki i bogaty źródłowo. Po pierwsze, ogromne ilości źródeł i problem ich selekcji; mam na myśli źródła wytworzone przez aparat władzy, prezentujące niezwykle bogactwo dla badań społecznych. Po drugie, socjologia polska lat sześćdziesiątych. Przez przynajmniej kilka lat, mniej więcej do 1964 r., to jest socjologia jakościowa, blisko się kontaktująca z nauką zachodnią, bardzo dynamiczna, ambitna, która zostawiła mnóstwo fascynujących badań przede wszystkim nad grupami robotniczymi i inteligencją, mniej chyba nad chłopstwem (ale na temat chłopów też jest masa rozmaitego materiału, więc możliwości badawcze są ogromne). Czy są one spożytkowane w pracach historycznych? W znikomym stopniu. Mam pretensje do historyków, którzy – czerpiąc na przykład z zasobu IPN – wykorzystują te dokumenty w sposób sztampowy, dostrzegając głównie elementy policyjnej rzeczywistości, czyli rządzenia, a mało interesując się tym, co wynika z tych dokumentów dla obrazu rządzonych.

Socjologia polska lat sześćdziesiątych jest przede wszystkim społeczeństwem młodym, aspirującym, próbującym sobie wywalczyć – nie bez trudności, w dosyć ciężkich warunkach gospodarczych – miejsce do życia. Roczники, które urodziły się w pierwszych latach powojennych, wchodziły na rynek pracy w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych. Władze muszą liczyć się z tym, że na rynek pracy napłył gigantyczny masę ludzi z tego powojennego wyżu. I temu są podporządkowane pewne decyzje rządzących. Około 1964 r. zapadają ostatecznie dwie takie znamienne decyzje: o radykalnej oszczędności w budownictwie, żeby budować więcej mniejszych mieszkań, co później nazwano „gomułkowskimi mieszkaniami”, i druga decyzja, mniej pamiętana, ale ważna, o wprowadzeniu punktów za pochodzenie przy egzaminach na uniwersytety. Te punkty mają służyć dodatkowej selekcji tych mas, które napływają właśnie na uczelnie w Polsce, przy niedofinansowaniu tych uczelni. I tu mamy problem PRL. To jest kraj nie-doinwestowany, w którym brakuje kapitału. Rezerwy proste się skończyły. To bardzo charakterystyczne w skali porównawczej: pierwszy skok industrializacyjny lat pięćdziesiątych w krajach rolniczych Europy Środkowo-Wschodniej wyczerpał swe proste zasoby. Potrzebne są technologie i inwestycje w przemyśle. Na te

inwestycje jest nakierowane myślenie elity politycznej. Chodzi przede wszystkim o zatrudnienie. Jest to kontynuacja metody pozyskiwania jak największej ilości środków w ramach państwa, szukania wszelkich „rezerw” i inwestowania w przemysł. Nazwijmy to pierwszą drogą. Była inna: około 1964 r. Rumunia wybiera otwarcie na Zachód, kupowanie tam licencji, wchodzenie w spółki z zachodnimi firmami, żeby zintensyfikować gospodarkę i ją zmodernizować. W swoich *Dziennikach* Rakowski zanotował w tym okresie opinię, że Rumunia może stać się „drugą Japonią”. Trzecią drogą był wariant jugosłowiański – pozwolić na odpływ nadmiaru siły roboczej za granicę jako gasterbeiterów. Kierownictwo polskie – i to jest polityczność jego myślenia o społeczeństwie – nie godziło się na tę ostatnią opcję. Nie dopuszczało myśli o emigracji zarobkowej, w znikomym stopniu starało się ją zastąpić działalnością usługową dla państw socjalistycznych (tam wysyłano pracowników) i później w Trzecim Świecie. To były bardzo ważne dziedziny, w których wykorzystywano polskich pracowników i technologie, i pozyskiwano dewizy. Zatem PZPR decyduje się na pierwszą drogę. To jest wybór polityczny, który naznaczy drugą połowę lat sześćdziesiątych. Oznaczało to wyciąganie nadal, ile się da, z działającej gospodarki i inwestowanie jak najwięcej w przemysł. Polska w roku 1968 miała akumulację na poziomie okresu stalinowskiego, to znaczy ilość inwestycji w dochodzie narodowym była rozdęta do poziomu z początku lat pięćdziesiątych. Powodowało to pewne napięcia. To druga część mojej propozycji interpretacyjnej: młode społeczeństwo miało już inne cele niż władze. Można powiedzieć, że w latach stalinizmu cele społeczne w pewnym stopniu się pokrywały z celami władz. Były następujące: odbudowywać kraj, wychodzić ze wsi, iść do wielkiego przemysłu, w tym przemyśle znajdować kawałek chleba, żyć w hotelach robotniczych, co i tak było na ogół lepsze niż w domu wiejskim. I później szukać sobie czegoś innego. Lata sześćdziesiąte to właśnie szukanie czegoś innego. Pragnienie własnego mieszkania, wyposażenia tego mieszkania, kupienia sobie jakiegoś środka transportu – motocykla czy wielkomiejskiego symbolu wolności – skutera Bazylego z *Niewinnych czarodziejów*. To wszystko było bardzo trudne w ówczesnych warunkach gospodarczych, co wywoływało narastające napięcie, powiększający się rozdziew między aspiracjami społecznymi a możliwością ich zaspokojenia.

Kolejna rzecz: to był okres zupełnie niebywałego bogacenia się Zachodu. Mamy ciekawe przesunięcie w mentalnej periodyzacji historii Polski i historii Francji, Włoch czy Niemiec. W historii Polski mamy „małą stabilizację”, „bidę gomułkowską” lat sześćdziesiątych, a potem się zaczyna ekspansja. Na Zachodzie odwrotnie. Lata sześćdziesiąte to ekspansja konsumpcyjna, a w latach siedemdziesiątych zaczyna się kryzys, są „szoki naftowe”, bezrobocie, upadek tradycyjnych gałęzi przemysłu. To jest ta odmienność. A Zachód bogacił się dotąd w niezwykłym tempie. Nawet oficjalne dane wzrostu dochodu narodowego – oficjalne, czyli wątpliwe, prawda? – drukowane w polskich rocznikach statystycznych pokazują, że gdy PRL i inne kraje bloku mają około 1960 r. wzrost roczny na poziomie trzech, czterech procent (a Czechosłowacja ma recesję w 1963 r. jako pierwszy kraj w bloku), to na Zachodzie, we Włoszech, we Francji, Wielkiej Brytanii, są przyrosty rzędu 8 procent rocznie, dwukrotnie szybsze niż w bloku sowieckim. Społeczeństwo polskie, biedne, dorabiające się, nie do końca zdawało sobie sprawę z tego, co tam się dzieje, lecz jednak jakimś kanałami tę wiedzę zdobywało. Ktoś przecież wyjeżdżał,

były rodziny mieszkające na Zachodzie, przysyłające paczki, ale które też czasem odwiedzano. Specjaliści jeździli w ramach umów kooperacyjnych, naukowcy na stypendia, była też garstka turystów, powiększająca się z czasem i opowiadająca potem, co na tym Zachodzie się dzieje. To było wyzwanie o charakterze mentalnym oraz ideologicznym. Narzucało się pytanie: czy dogonimy? A odpowiedź brzmiała coraz częściej: nie! Wystarczyło zresztą pojechać w drugiej połowie lat sześćdziesiątych do Jugosławii, na Węgry, nawet do Rumunii, do kurortów nad Morzem Czarnym, żeby zobaczyć inny świat. Bardziej kolorowy, bardziej ruchliwy, często lepiej ubrany i utrzymujący kontakt z Zachodem, co było dla Polaków, zwłaszcza inteligencji czy nowej klasy średniej, bardzo ważne.

Łukasz Kamiński – Trudno będzie zwrócić uwagę na coś oryginalnego po tym wszystkim, co zostało przed chwilą i wcześniej powiedziane. Można spojrzeć jeszcze z innej perspektywy. Na problem przemian mentalności. Wspominaliśmy już o nasileniu procesu przystosowania do systemu, co ja bym łączył z brakiem nadziei na jego zmianę. Rok 1956 to jest ostatni moment, kiedy wydaje się, że wszystko może runąć jak domek z kart, potem ta nadzieja na długo znika. Zgadzam się z podkreśleniem roli presji demograficznej, czyli roczników z okresu kompensacji powojennej powoli wchodzących w dorosłe życie, ale trzeba też zauważyć, że po roku 1956 obserwujemy gwałtowny spadek dzietności. To na wykresie jest prosta w dół i tego zjawiska nie można wytłumaczyć tylko tym, że w okresie rozrodczym są roczniki urodzone tuż przed wojną, czy w czasie wojny, to nie jest wystarczające wytłumaczenie, zwłaszcza jeśli to połączymy z danymi o oficjalnych aborcjach. Jeśli dobrze pamiętam, to w roku 1962 jest ich szczyt – blisko 300 tys. Na to wszystko, co już było powiedziane, musimy nałożyć pewne zmiany mentalności, powiedziałbym – przewartościowanie dotychczasowego systemu. Na przykład rodzina nie jest już (albo przynajmniej nie taka rodzina, jak do tej pory sobie wyobrażano) najważniejszym punktem odniesienia. Pytanie, czy to zjawisko współgra z procesem adaptacji do systemu. Z innych procesów społecznych, na które warto by zwrócić uwagę i które zachodzą w okresie po 1956 r., można wymienić stabilizację grupy ponad miliona osób przemieszczonych ze wsi do miasta w okresie stalinowskim. Do połowy lat pięćdziesiątych była ona *de facto* grupą całkowicie niestabilną – ze względu na swój wiek, wyrwanie z dotychczasowego środowiska, na presję ideologiczną, warunki życia itd. W drugiej połowie dekady, oczywiście to nie jest ściśle związane z samym rokiem 1956, następuje naturalny proces stabilizacji. Stereotypowym przykładem może być Nowa Huta, w której wypadku możemy mówić chociażby o zjawisku powrotu do wartości religijnych, czego dowodem jest walka o krzyż i o budowę świątyni. Dla mnie zawsze było frapujące pytanie, skąd się wzięli księża w sierpniu 1980 r. w strajkujących zakładach pracy, nie w sensie mechanizmu, bo ten znam, ale źródła pragnienia robotników. Przecież przed wojną nie było takiego zwyczaju, nawet w najbardziej endeckich regionach, gdzie dominowały chrześcijańskie związki zawodowe, by duchowni towarzyszyli strajkom czy też by odprawiano msze w fabrykach. Podczas ogromnej fali strajków w latach 1945–1947 nie ma w ogóle tego wątku. Pojawia się pytanie, czy to przywiązanie do ludowej religijności przez nowych robotników nie zmienia charakteru nie tylko już samej klasy robotniczej jako takiej, ale też charakteru miast w jakimś stopniu, to jest oczywiście jedno z pytań badawczych czy hipotez, na które w tej

chwili nie mamy odpowiedzi. W kwestii badań socjologicznych to jak najbardziej się zgadzam; obserwuję jakąś taką niechęć wśród naszych kolegów do sięgania do badań nie tylko z tego okresu. Szczególnie interesujące są zwłaszcza badania przeprowadzone jeszcze w czasie odwilży.

Dla mnie w perspektywie analiz postaw społeczeństwa kluczowe jest zagadnienie swoistej podwójnej zmiany – od roku 1956 po lata 1968–1970 i ponownie – od postaw z przełomu dekad po lato 1980 r.

Konrad Rokicki – Nawiązując do aspiracji społecznych, do ich wzrostu w epoce Gomułki, zwróciłbym uwagę na to, że są one skutkiem ubocznym polityki władz, a nawet jej sukcesem. Bo jednak to, że tę milionową rzeszę przerzucono ze wsi do miast, to był olbrzymi awans społeczny, skok cywilizacyjny dla tych ludzi. W latach sześćdziesiątych widać, że to społeczeństwo jest jednak lepiej wykształcone niż w latach pięćdziesiątych, także stąd biorą się szersze horyzonty. I jest u nas zupełnie inna niż w „krajach demokracji ludowej” prasa, która kształtuje tę świadomość społeczną. U nas są wyświetlane zupełnie inne filmy. Fakt – te przemiany cywilizacyjne płynące z Zachodu tutaj następują dosyć wolno. To jest proces spowolniony po przez politykę władz: przecież nie można było dopuścić do tego, żeby ten „zgniły, zepsuty” Zachód oddziaływał szerzej na zdrowe, kierowane przez Partię społeczeństwo, tworzył alternatywne wzorce zachowań, oddziaływał na system wartości.

Lata pięćdziesiąte, sześćdziesiąte to również dynamiczny rozwój biurokracji. Biurokracji, która w tamtych czasach przecież ogarniała już wszystkie dziedziny życia. W zakładach pracy była już tak duża, że jednym z postulatów pojawiających się podczas strajków było zazwyczaj ograniczenie tej biurokracji, żeby ona jednak nie żyła na koszt robotników, żeby się nie rozrastała, żeby nie przejadała pieniędzy wypracowanych przez robotników. Wydaje mi się, że ten rozrost biurokracji był związany nie tylko z chęcią ogarnięcia kontrolą wszystkich zjawisk, ale też z dogmatem obowiązującym w państwie, że nie może być bezrobocia. To było zatrudnianie ludzi na siłę, bo coś trzeba było zrobić z tymi ludźmi z maturą, z wykształceniem wyższym, aspirującymi do pracy umysłowej. To też był uboczny, uciążliwy skutek podniesienia poziomu społeczeństwa. Łatwiej było planować miejsca pracy dla robotników, budować nowe zakłady itd. Wiadomo przecież, że Gomułka nie był wybitnym intelektualistą i wokół siebie też nie miał ludzi, którzy kładliby specjalny nacisk na to, żeby społeczeństwo się rozwijało...

Błażej Brzostek – A jeśli miał, to się pozbył, jak Władysława Bieńkowskiego, prawda?

Konrad Rokicki – ...czy Oskara Langego, który próbował mu doradzać w kwestiach ekonomicznych – ale „Wiesław” nie słuchał... No, ale jednak mimo tych ograniczeń Gomułki, powstawały kolejne szkoły wyższe, w ośrodkach, w których takich tradycji nie było, czasem wręcz prowincjonalnych, powstawały kolejne uniwersytety, politechniki.

Jerzy Eisler – Słuchając tego, co tu mówiliście, zastanawiałem się nad takim otoczeniem. Czy przypadkiem nie jest tak, że niezależnie od ustroju polityczno-

-społeczno-ekonomicznego duża część ludzi bardzo krytycznie ocenia to wszystko, co widzi na co dzień, natomiast to, czego nie zna z autopsji i czego nigdy nie widziała z bliska, jest skłonna idealizować? Posłużę się tutaj pewnym (na razie) hipotetycznym przykładem. Otóż 20 lat temu – po doświadczeniach PRL – nie wyobrażałem sobie i chyba nikt sobie nie wyobrażał, że w realnie przewidywanej przyszłości ulicą Marszałkowską będzie mogło przemaszerować 50 tys. ludzi z czerwonymi sztandarami, śpiewając „...ruszamy z posad bryłę świata, dziś niczym, jutro wszystkim my. Bój to jest nasz ostatni”. Tymczasem w perspektywie kolejnych dwudziestu lat, jeśli dalej wiele rzeczy będzie w Polsce wyglądało tak, jak dotychczas (pogłębiające się rozwarstwienie społeczne, nierzadko pogardliwy stosunek do człowieka pracującego fizycznie, te wszystkie tzw. śmieciowe umowy o pracę itd., itp.), to możliwe, że dla kolejnych młodych pokoleń, dla których ani Służba Bezpieczeństwa, ani cenzura, ani ZOMO, ani nic z tych złych rzeczy z czasów PRL nie będzie już doświadczeniem osobistym, protest pod czerwonym sztandarem z *Międzynarodówką* na ustach będzie jedyną możliwą formą publicznej ekspresji. Nie mówię, że tak na pewno będzie, nie będę bawił się w futurologa, ale dziś uważam to już za całkiem możliwe, podczas gdy 20 lat temu za wykluczone. Wydaje się, że ludzie, którzy nie pamiętają z autopsji Polski rządzonej przez komunistów, są bardziej podatni na radykalnie lewicowe hasła niż wszyscy ci, którzy mieli (nie) przyjemność osobiście zetknąć się z tamtą rzeczywistością.

W tle naszych rozważań pozostaje cały czas „Solidarność” i jedno z najważniejszych pytań, jak to się stało, że przy takiej postępującej systematycznie atomizacji społeczeństwa, powiedziałbym nawet, że do jakiegoś stopnia – ucieczce od świata wartości w prywatność, pojawiła się „Solidarność” z aksjologią, która przez 40 lat w życiu publicznym była nieobecna. Nagle – jednak chyba przede wszystkim za sprawą Jana Pawła II – okazało się, że można być dumnym z tego, że jest się Polakiem. Jednocześnie okazywało się, że w obliczu kłamstw, opresji, innych złych rzeczy wielu z nas za wszelką cenę dążyło do stworzenia jakichś własnych enklaw spokoju i normalności, gdzie się nie donosi, gdzie się nie podgryza, gdzie się nie kopie dołków pod bliźnimi, gdzie na co dzień żyje się w prawdzie. Skoro nie mogło tak być w pracy, w szkole, na uczelni, w wojsku itd., to w jakimś stopniu, powtarzam w jakimś, bo oczywiście pamiętam o alkoholizmie, pamiętam o biciu żon i dzieci, pamiętam o aborcji, o rozwodach i rozmaitych patologiach społecznych, to mimo wszystko taką enklawą normalności dla wielu ludzi stawała się rodzina. Dla wielu drugim takim azylem był Kościół katolicki. To był naprawdę pewien punkt odniesienia, miejsce, gdzie odwoływano się do autentycznych wartości.

Te wszystkie procesy nie przebiegają ani liniowo, ani sinusoidalnie. To jest taka mieszanina. Dziś nie byłbym w stanie jednoznacznie powiedzieć, czy np. w roku 1985 Polacy byli bardziej czy mniej ideologicznie „zdoktrynowani” niż w 1955.

Andrzej Friszke – Ale wyjaśnij, bo to jest niejasne zupełnie. To znaczy „zdoktrynowani” w jakim sensie?

Jerzy Eisler – Mam tutaj na myśli na przykład internalizację wartości socjalistycznych takich, jak równość, wolność, sprawiedliwość społeczna itp., które przecież w PRL stały się własną karykaturą. Nie umiałbym jednak udowodnić, że

tych 40 lat mówienia o emancypacji kobiet, o jednakowych żołądkach, o społecznym wyrównywaniu szans itp., itd. spowodowało, że te hasła i wartości na stałe i na masową skalę zadomowiły się w Polakach. Tak mi się wydaje, ale pewności nie mam, bo na każde zdanie tego typu mogę wygłosić przeciwne, które pokaże, że to nie jest takie proste. Musimy mieć stale świadomość, że mówimy o części większej całości i my przy tym stole bez wątpienia mamy tego świadomość. Natomiast chcę taki sygnał wysłać do czytelników, że mówimy o latach 1956–1976 pamiętając, że przedtem były lata 1944–1956, a potem były lata 1976–1989, że wówczas także coś się z tym społeczeństwem działo. A działo się przecież bardzo wiele zarówno przed rokiem 1956, jak i po roku 1976.

Andrzej Friszke – Generalnie zgadzam się właściwie ze wszystkim, co tu zostało powiedziane, i nie będę polemizował. Ale się poodnoszę do pewnych rzeczy. Mianowicie wspomniał Łukasz Kamiński, słusznie bardzo, że w przebiegu roku 1956 na prowincji były wyraźne silne elementy patriotyczne, narodowe. To budzi pewną refleksję. Mianowicie, była to ostatnia fala masowych poruszeń rewindykacyjnych do roku 1980, kiedy odwoływano się do języka tego typu i takich hasła. Gomułka czy – szerzej – ten system po 1956 r. w gruncie rzeczy rozładował poczucie zniewolenia narodowego, braku suwerennego państwa czy braku identyfikacji z państwem. W konsekwencji Października ukształtowało się szerokie przekonanie, że to jest polska władza. Można jej nie lubić, dowcipkować na jej temat, mieć pretensje o nadmiar hołdów wobec Moskwy, ale jednak jest to władza polska. Można więc od niej żądać poprawy warunków materialnych czy zmian polityki kulturalnej, bo to od niej zależy, a nie od Moskwy.

Gomułka ze swoją ekipą podejmowała rozmaite działania zmierzające do tego, żeby rozwiązywać jakieś rzeczywiście realne polskie problemy. Oni to robili w sposób skrzywiony ideologicznie, widzieli Polskę wyłącznie w ramach bloku wschodniego, to oczywiste. To nie był rząd polski, jakiego byśmy pragnęli, ale to była jednak jakaś Polska. I ta ekipa próbowała różne polskie sprawy załatwiać. Pozbyła się Rokossowskiego, pozbyła się pewnych elementów takiego nachalnego sztafażu sowieckiego. Gomułka ostatecznie doprowadził do układu z RFN, co było dla Polski fundamentalnie ważne. Być może niechętnie, ale ta ekipa akceptowała warunki do rozwoju kultury na poziomie nieporównanie wyższym niż w innych krajach bloku. Oczywiście, był to skutek zmian 1956 r., znacznie potem ograniczanych, ale jednak warunki były o wiele lepsze niż w ZSRR czy Czechosłowacji. Władza podejmowała też próby rozwoju gospodarczego, o których jesteśmy złego zdania, bo zawierały liczne ograniczenia ideologiczne, systemowe, towarzyszyły im anachronizmy, ale przynajmniej części działań nie należy lekceważyć. Próbowała więc coś robić dla kraju, umacniając oczywiście swoją dyktaturę, to jasne – nie było żadnych zamiarów demontażu dyktatury, a w pewnych okresach podejmowano próby jej wzmocnienia, likwidacji enklaw „nadmiernych” swobód.

Postawmy jeszcze jedną tezę. Mówiliście słusznie o przemianach społeczeństwa polskiego, o pojawieniu się ogromniej masy ludzi ze wsi, którzy mieli poczucie awansu. Dla tej ogromniej masy młodych ludzi, którzy wychowywali się po wojnie i nie znali innej rzeczywistości, państwo PRL było naturalnym obszarem życia i budowania swojej przyszłości. Nie zapominajmy też o świadomości ludzi starszych, którzy pamiętali wojnę i lata powojenne i zwykle byli przekonani, że

nie ma alternatywy dla tej rzeczywistości, że będą do końca życia w takim kraju. Jest zatem zrozumiałe, że następuje krytyczne, ale jednak przystosowanie do tej rzeczywistości. Myśli się w perspektywie tego, co jest. Przewiduje się zmiany o charakterze przede wszystkim cywilizacyjnym, materialnym, znacznie rzadziej politycznym. Aspiracje do istotnych zmian politycznych dotyczą grup inteligentnych i to też nielicznych.

Poczucie znośności sytuacji politycznej po 1956 r. jest spore. Pisała o tym bardzo interesująco Hanna Świda-Ziemba. Działo porównanie, kontrast ze stalinizmem, odmienność sposobu funkcjonowania na co dzień w 1960 czy 1965 r., w porównaniu z tym, co było przed 1956. Chodziło o zwykłe rzeczy – że chodzi się do pracy bez strachu, wiadomo, że się wróci do domu, że UB nie zgarnia już nagle z ulicy, że nie ma nachalnych ideologicznych kursów, nie trzeba deklorować wierności dla Stalina czy składać samokrytyki. Że można pójść do kina na film francuski lub na western albo posłuchać „Matysiaków” w radio, albo zgoła Wolnej Europy i za to nie zamkną. Żyje się względnie normalnie. Więc to jest ogromna zmiana jakościowa dla ludzi. System danin, które trzeba składać władzy, jest dosyć wyraźnie określony i nie jest tak bardzo uciążliwy. Są oczywiście wybory, 1 maja, jakaś akademia, na której trzeba siedzieć spokojnie i wysłuchać, co tam ktoś ma do powiedzenia, ale nie żądają, żeby samemu coś mówić.

Łukasz Kamiński – Pójść na wiec. Jednak dodajmy, potępić agresorów...

Konrad Rokicki – Jest to jednak mimo wszystko cały czas państwo, w którym władza jest bezkarna.

Andrzej Friszke – Tak, oczywiście.

Konrad Rokicki – To wynika chociażby z listów i skarg do Ministra Spraw Wewnętrznych, gdzie po prostu widać, na ile bezkarni czują się funkcjonariusze, nie tylko SB, ale milicji, tacy stójkowi, drogówka nawet itd. Jest mnóstwo, tysiące skarg na takie najprostsze działania władz – lub odwrotnie, bezczynność wobec zgłoszonych wykroczeń, szkód – słowem, na widoczną bezkarność funkcjonariuszy wobec prawa i bezczelność w postępowaniu wobec obywateli. Podejrzewam, że takie same skargi były na działaczy partyjnych, na aparat administracyjny. Przy czym też jest charakterystyczne, że liczba tych skarg jest mniejsza w momentach kryzysowych, kiedy Partia przez instytucje państwowe przypomina obywatelom o tym, że to ona dyktuje warunki.

Andrzej Friszke – No właśnie, ale ja jeszcze chcę wrócić do jednej kwestii. Ma Pan rację, ale – żeby wejść w słowo – ta sytuacja, oczywiście nie dotyczy na ogół milicji, ale na przykład administracji, różnych decyzji administracyjnych, które wobec obywatela są podejmowane. Ta sytuacja kształtuje też, nie wiem, czy w okresie stalinowskim tak było, pewien model zachowań. To znaczy, ludzie się odnoszą do komitetów partyjnych. Każdy, no może nie każdy, ale mnóstwo ludzi niepartyjnych, niemających nic wspólnego z systemem, w komitetach partyjnych szuka sprawiedliwości w różnych sprawach. Nie wiem, czy to było wcześniej, oczywiście, jest to bardzo typowe dla tamtego systemu, a nie dla systemów w ogóle,

w których są pewne procedury podejmowania decyzji, składania, skarg, upominania się o swoją rację. Oczywiście, ma Pan rację – ten system, system prawa, odwoływania się obywatela do instytucji prawa, sądów itd., w ogóle nie funkcjonuje. Obywatel wie w zasadzie (dzięki takiej codziennej edukacji obywatelskiej), że sądy są Ich i nikt przytomny nie będzie szukał sprawiedliwości na drodze sądowej. Tylko właśnie na przykład na drodze administracyjnej, partyjno-administracyjnej. Krótko mówiąc, ja myślę, że rzeczywiście ten czas zmian i kształtowania się nowych aspiracji (w związku z tym ciekawe jest spojrzenie na to, co się dzieje w obrębie oporu społecznego, na co ja zwracałem uwagę w swoich badaniach), powstawania nowego horyzontu i zmiany wyobrażeń młodego pokolenia, rzeczywiście lokuje się nie tyle w warstwie czystej polityki czy języka polityki, ile właśnie w warstwie spraw materialnych, cywilizacyjnych, obyczajowych. I ten system, najbardziej dolegliwy wydaje się właśnie z tego punktu widzenia, zwłaszcza młodym ludziom. Myślę, że z tego będzie się brała też bardzo istotna część języka i form różnych kontestacji czy protestów późniejszych. Otóż ta sytuacja, moim zdaniem, tłumaczy to, że właściwie język polityczny starszego pokolenia, pokolenia lat czterdziestych, w zasadzie kompletnie nie ma związku z rzeczywistością. To jest jedna z rzeczy, która mnie ciekawi – właściwie pół życia się nad tym zastanawiam, jak to jest, że znani i wcale niegłupi przecież przywódcy polityczni z lat czterdziestych, jeszcze wtedy bardzo aktywni z 10 lat, potem nie są w stanie znaleźć wspólnego języka z ludźmi młodszymi; i to dotyczy wszystkich: i prawicy, i lewicy. Przykładem może być Zygmunt Zaremba piszący na emigracji rzeczy w języku dosyć bliskim kręgowi Karola Modzelewskiego, i to w ogóle nie chwyta. Kompletnie. I to samo jest, jeśli chodzi o prawicę. Wolna Europa owszem oddziałuje, w odniesieniu się do rzeczywistości, do krytyki tego, co jest dziś. Ale taka próba zaproponowania pewnych form sprzeciwu nie obowiązuje, to samo jest w KIK. Jerzy Braun czy Kazimierz Studentowicz – jakby z innego świata. Zabiera głos. Ludzie patrzą, zupełnie nie wiedzą, o czym on mówi. To nagle jest kompletne przerwanie ciągłości języka dla tamtego pokolenia. W moim przekonaniu, to oczywiście z jednej strony można tłumaczyć stalinizmem, czyli takim przeoraniem pewnych autorytetów, hierarchii, właśnie języka. Ale z drugiej strony też tym, że oni właściwie wszyscy nie bardzo to rozumieją, że to oczekiwanie zmian, oczekiwanie, że tak powiem, ewentualnie sprzeciwu wobec rzeczywistości lokuje się w warstwie materialnej, cywilizacyjnej i obyczajowej, a nie w warstwie ideologii. Takiej oderwanej, bym powiedział.

Łukasz Kamiński – Bo też możemy spojrzeć poza kraj. To samo, myślę, zjawisko dotyczy emigracji. Tam emigracja traci, poza oczywiście wybitnymi jednostkami, wycucie tego, co się dzieje w kraju. Ich język, ich system wartości... To nie jest w ogóle punkt odniesienia dla nikogo w kraju, a przecież Anders to był wielki mit, chociażby do 1956 r., jego nazwisko przeszło do języka potocznego.

Andrzej Friszke – Zgadzam się. Uważam, że Anders dla pewnej części, może nie dla młodzieży, ale dla dosyć dużej części społeczeństwa nadal jest ważnym symbolem, ale z przeszłości. Z przeszłości. W latach sześćdziesiątych jest to taka sama postać z minionego świata, jak Sikorski czy Bór-Komorowski. Czyli zamknięta epoka, która już należy absolutnie do historii.

Łukasz Kamiński – Fascynuje mnie teza o swoistej polonizacji aparatu władzy po 1956 r. I tu, jak rozumiem, chodzi o coś więcej, nie tylko o usunięcie poszczególnych postaci, jak Rokossowski, tylko powiedzmy o pewien sposób myślenia w kategorii interesu nawet komunistycznej Polski, ale jednak interesu komunistycznej Polski, a nie tylko Moskwy. Tylko chciałem zwrócić uwagę na drugą stronę medalu – z tej perspektywy Gierek będzie resowietyzatorem: w polityce gospodarczej mamy wzrost uzależnienia gospodarczego od Związku Sowieckiego, symboliczne poprawki do konstytucji, wzrost tłumaczeń z języka rosyjskiego bardzo gwałtowny, kult stalinizmu (pomnik Bieruta w Lublinie) itp.

Andrzej Friszke – Przykłady, które wymienił Łukasz Kamiński, są nie do zakwestionowania, ale z drugiej strony, to się nie przekładało na systematyczną indoktrynację, która już była tylko rytuałem, a nie autentyczną wiarą. Ludzie władzy byli cyniczni, a nie „wierzący”. Ponadto jest to też czas największego otwarcia na Zachód w kontaktach międzyludzkich, wyjazdów setek tysięcy ludzi, napływu kultury masowej z Zachodu. No, i uzależnienia gospodarczego PRL od Zachodu, co ma potem kluczowe znaczenie dla dalszego przebiegu polskiego kryzysu.

Jerzy Eisler – Ale fenomenem jest to, że w potocznej pamięci pozostało wyłącznie to, a nie to, o czym mówiliśmy Łukasz i ja. Nie ma tego elementu resowietyzacji, restanilizacji bez terroru.

Łukasz Kamiński – Chciałbym jeszcze krótko odnieść się do jednej rzeczy. Nie mogę zaakceptować sformułowania „identyfikacja”, będę podtrzymywał, że słowo „przystosowanie” jest jednak dużo, dużo lepsze. I to przystosowanie obejmuje wiele elementów, łącznie z przystosowaniem się do języka władzy. Ludzie przystosowują się do tego, jak mówi władza, że do władzy trzeba mówić jej językiem. No, i to jest właśnie paradoks Grudnia '70, kiedy robotnicy – wnosząc hasła, w których pobrzmiewają echa komunistycznej nowomowy – jednocześnie palą komitety partii i walczą z milicją i wojskiem.

Oczywiście, życie społeczne po przełomie jest łatwiejsze, ale musimy brać pod uwagę pamięć strachu sprzed 1956 r. Podam tylko jeden przykład: wywiad rzeka z Janem Krzysztofem Kelusem, kiedy on wspomina, że jak w roku 1968 został zatrzymany, był absolutnie przekonany, że zaraz będą łamać kości, bić, mordować. Bo takie było wyobrażenie, taka była pamięć w jego rodzinie. Choć ludzie wiedzieli, że codzienna rzeczywistość się zmieniła, ten „wdrukowany” strach przed władzą pozostał.

Błażej Brzostek – Ale strach jest zlokalizowany, w okresie stalinowskim był rozproszony. Natomiast w latach sześćdziesiątych wiadomo, że jest sfera strachu, że pewnych spraw lepiej nie dotykać.

Łukasz Kamiński – Inaczej, inaczej. On jest ukryty. To znaczy, to nie jest taki strach, powiedziałbym, codzienny. Tylko ludzie wiedzą, co się zdarzy, jeśli wyjdą poza postawę przystosowania.

Błażej Brzostek – Jeśli się zachowają w dany sposób.

Konrad Rokicki – Kary też mogły być mniejsze. Bo to mogło być usunięcie ze studiów, wyrzucenie z pracy. Ale na każdym etapie te kary też występują.

Błażej Brzostek – Ale było dokładnie wiadomo, czego nie należy zrobić. Natomiast w latach stalinowskich nie było wiadomo.

Łukasz Kamiński – Nie był to ślepy terror, tylko konsekwencja działania.

Grzegorz Waligóra – Kolejne pytanie jest związane z tym, o czym wszyscy Panowie już trochę wspomnieli, czyli o aparat władzy w tym okresie. Jest to kolejny temat słabo zbadany, jeden z priorytetów badawczych Instytutu Pamięci Narodowej w najbliższych latach. Na ile zmienia się Polska Zjednoczona Partia Robotnicza w tym czasie? Czy można wyodrębnić jakieś etapy? Czy zmiany centralne przekładają się od razu na zmiany w aparacie terenowym? Jaka była pozycja partii satelickich ZSL, SD? Oczywiście, mówimy tu o przedziale czasowym do reformy administracyjnej z 1975 r.

Jerzy Eisler – Trzeba zacząć od tego, że ostatnia wielka kadrowa czystka w PZPR przed latami 1980–1982 miała miejsce w latach 1957–1958, kiedy to z partii ubyło w sumie ponad 200 tys. członków i kandydatów.

Łukasz Kamiński – To lepiej w procentach: ponad 16 proc.

Jerzy Eisler – Natomiast w latach sześćdziesiątych pojawiła się już koncepcja partii masowej. Nastąpił radykalny wzrost liczby członków i kandydatów PZPR. Oczywiście, w latach siedemdziesiątych „twórczo” to rozwinięto w zupełnie nową jakość, między innymi za sprawą dość szokującego pomysłu, żeby między studniówką a maturą – w ocenie dyrekcji szkoły i organizacji partyjnej – „najlepszych, najbardziej ideowych młodych ludzi w szkołach średnich” włączyć w szeregi PZPR.

Andrzej Friszke – Przed maturami jeszcze?

Jerzy Eisler – Tak. I to było urocze, gdy ci młodzi ludzie, osiemnasto-, dwiętnastoletni do swoich nauczycieli na zebraniach partyjnych zwracali się per „towarzyszu”. Na lekcjach mówili „pani profesor, panie profesorze”, a na zebraniach: „Nie mogę się zgodzić z towarzyszem dyrektorem...” itp., itd. W omawianym okresie, zaczyna się też proces, który w drugiej połowie lat siedemdziesiątych nabral ogromnego przyśpieszenia. Myślę tutaj o umasowieniu PZPR, o tym, że o ile przedtem można było jeszcze czasem usłyszeć zdanie: „osobiście nie znam nikogo partyjnego”, o tyle w drugiej połowie lat siedemdziesiątych przestawało to być możliwe, a w każdym razie stawało się coraz trudniejsze, gdyż na pewno w fabryce, w szkole, na uczelni, w biurze, w jednostce wojskowej, także coraz częściej w bliższej lub dalszej rodzinie był ktoś, kto należał do PZPR. I ten proces na dobre zaczął się w latach sześćdziesiątych.

Szczególnie w latach siedemdziesiątych towarzyszył mu drugi proces: unarodowienia partii. To jest to, o czym Andrzej Friszke mówił wcześniej, o tej pewnej

internalizacji PRL, realnego socjalizmu – jakkolwiek byśmy to nie nazwali – komunizmu. Otóż podobnie było z partią. O ile w okresie stalinowskim oni to byli ewidentnie „ONI”, o tyle później sprawa się nieco komplikowała. Najpierw bez wątplenia była taka obcość ideowa, ideologiczna, a czasem nawet narodowa, często podtrzymywana strachem, terrorem, opresją. Potem to się skomplikowało, no bo jakże to powiedzieć „ONI” o wujku Staszku czy stryжку Leonie? A o własnym ojcu lub może jeszcze częściej synu? O koledze, przyjacielu z drużyny harcerskiej czy z boiska? W ten sposób ci „ONI” stają się już nieco mniej wyraziści, a zarazem przynajmniej częściowo są przecież także i nasi. Określenie „ONI” z czasem staje się bardziej adekwatne w odniesieniu do tych z Komitetu Centralnego czy tych z Komitetu Wojewódzkiego, nie mówiąc o tych z za Buga. To są właśnie prawdziwi „ONI”. Wcale nierzadko powtarzaliśmy bezrefleksyjnie: „ONI nie pozwolą”, „ONI nie dadzą”, „ONI nie zgodzą się” itp., itd. Paradoksalne jest to, że ten proces unaradawiania PZPR osiąga apogeum w stanie wojennym, kiedy zostają zszyte flaga biało czerwona i czerwona na dachu gmachu Komitetu Centralnego w Warszawie. Przedtem powiewała tam tylko flaga czerwona, ale w stanie wojennym pojawiło się takie zszycie i flaga była z jednej strony czerwona, a z drugiej biało-czerwona. Na zjazdach PZPR zawsze śpiewano *Międzynarodówkę*, ale od pewnego momentu także i hymn narodowy. W okresie stalinowskim było to po prostu wykluczone. Na zjeździe w 1954 r. nikt sobie nie wyobrażał nawet, że można by zaśpiewać *Jeszcze Polska nie zginęła*. To w ogóle było poza polem wyobrażenia.

Łukasz Kamiński – Należy zwrócić uwagę na punkt wyjścia. Partia ma wówczas coś w rodzaju restartu, mówiąc współczesnym językiem. Przełom lat 1956 i 1957 różnie wygląda w zależności od szczebla, ale znowu odwołam się do doświadczenia prowincjonalnego. Na skutek zachodzących wydarzeń partia przestaje istnieć na bardzo wielu poziomach. Przestaje istnieć w niektórych zakładach, w gromadach – komórki partyjne przestają się zbierać, podejmować decyzje itp. Zaraz po tym momencie kryzysu następuje redukcja etatów, likwidowane są one właśnie na najniższych szczeblach. Partia trochę się jakby oddala od społeczeństwa na tym poziomie. Ponieważ aparat partyjny zostaje zredukowany, partia ma mniej ludzi na co dzień docierających do społeczeństwa, kontrolujących itp. To jest jeden z tematów do zbadania, jak to wpływa na sposoby zarządzania, bo należy się domyślać, że pośrednie sposoby zarządzania zaczynają odgrywać większą rolę. Zaryzykowałbym hipotezę, że być może system nomenklatury kadr zaczyna odgrywać większą rolę niż przed rokiem 1956. Znaczenie ma już nie to, że Komitet Fabryczny trzyma żelazną ręką całą fabrykę, tylko to, że on wskaże zaufanego towarzysza, którego Komitet Powiatowy zaakceptuje na dyrektora zakładu. To jest istotniejsze dla utrzymania porządku w zakładzie i rytmiki produkcji.

Zgodziłbym się z opinią, że następuje swoiste oswojenie partii. Okres lat 1956–1970 jest okresem przejściowym. Partia do 1956 r. jest miejscem, gdzie się przekształca ludzi czy raczej próbuje się ich przekształcać w „nowego człowieka”. Oczywiście, po 1956 r. nie jest tak, że się z tego rezygnuje, na przykład za praktyki religijne dalej się wyrzuca z partii itd., ale PZPR po tym doświadczeniu kryzysowym w większym stopniu odzwierciedla społeczeństwo. Między innymi przez to, że nie ma mechanizmu tej permanentnej czystki, nieustannej weryfi-

kacji, tylko mamy co cztery lata wymianę legitymacji partyjnych. Mieliśmy nie mówić o latach kryzysowych, ale pewne rzeczy lepiej widać w okresach kryzysowych. I to znowu widać najlepiej z perspektywy prowincjonalnych komitetów partyjnych i tu mówię oczywiście o szczeblu zakładowym, podstawowych organizacjach partyjnych. W Grudniu '70 – Styczniu '71 jest bardzo głośno, które są dużo bliższe głosom społeczeństwa niż temu, co wtedy mówi partia. Począwszy od burzliwych zebrań po podwyższeniu cen, później są zebrania organizowane przed usunięciem Gomułki, które miały potępiać buntowników z Gdańska i z Gdyni. Jest też wiele głosów sprzeciwu w styczniu, opieram się na danych z Dolnego Śląska, ale myślę, że to musiało być zjawisko dość typowe, kiedy struktury partyjne czy raczej osoby tkwiące w tych strukturach domagają się rozliczenia sprawców tragedii. Żądają dokładnie tego samego, czego żądali strajkujący wtedy po raz drugi stocznioowcy, czyli ukarania winnych masakry. Czyli jakby w pewnym sensie partia do społeczeństwa się zbliża, powstaje pytanie, kto zrobił większy krok, ale to zjawisko wpływa na funkcjonowanie systemu i nawiązując do poprzedniego tematu naszej dyskusji, trzeba by na to zwrócić uwagę.

Natomiast, jeżeli mówimy szerzej o aparacie władzy, to oprócz wspomnianego mechanizmu związanego ze wzrostem znaczenia nomenklatury, pojawia się pytanie (na które nie potrafię jednoznacznie odpowiedzieć) – czy administracja państwowa zyskała na znaczeniu po 1956 r.? Postawiłbym taką hipotezę, nie twierdząc, że administracja się usamodzielnia, ale że zyskuje nieco więcej realnych kompetencji kosztem aparatu partyjnego.

Kolejnym zjawiskiem wskazującym na zachwianie relacji w strukturach władzy jest gwałtowne osłabienie roli aparatu bezpieczeństwa po roku 1956. Jest ono widoczne w każdym wymiarze, począwszy od obniżenia budżetu. W 1957 r. było prawie czterokrotnie mniej funkcjonariuszy niż w 1953. Oczywiście, ten proces zaczął się już w 1954 r., był jednak powolny, w 1956 następuje gwałtowne przyspieszenie, w tym bardzo drastyczna redukcja sieci agenturalnej (ponad siedmiokrotny spadek). Następuje znaczące ograniczenie środków i w materiałach archiwalnych można odnaleźć sporo pochodzących z przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych niemalże dramatycznych apeli powiatowych szefów SB, którzy tłumaczą, że rower już im się zepsuł i jakkolwiek środek lokomocji to jednak im by się przydał, może nie samochód oczywiście, ale chociaż jakiś motocykl. Następuje więc bardzo realna zmiana struktury władzy. Być może trzeba też patrzeć na to w kategoriach odwetu ze strony partii na SB, jakby pokazania jej właściwego miejsca w szeregu. Potem następuje stopniowy proces odbudowy potęgi, wzrost wpływów, to jest oczywiście rzecz bardzo trudna do badania, ale przykładem mogą być znane przesyłki, które z MSW trafiały do Gomułki. Wyselekcjonowane fragmenty podsłuchów, informacji, ale niekompletny obraz sytuacji, sugerujące podejmowanie takich, a nie innych decyzji. Stopniowo SB ma coraz więcej środków, jest więcej funkcjonariuszy, więcej agentów, ale też następuje wzrost jej realnego znaczenia, chociaż rzeczywiście nigdy nie wraca do poziomu sprzed 1954 r. Warto się zastanowić nad zmianami w obrębie obozu władzy, kto idzie trochę do góry, kto idzie w dół.

Andrzej Friszke – Zgodzę się z tym, co dotyczy roli MSW, przy czym jedna uwaga. Pojawia się pytanie, w jakim stopniu MSW w tym procesie, o którym

mówił Łukasz Kamiński, jest częścią partii, a w jakim stopniu jest osobnym ośrodkiem władzy. Bo przecież mamy sprawę frakcji partyzanckiej, która w pewnym zakresie rozgrywa też partię, czy w ogóle struktury władzy. I nie jako MSW, ale jako pewna grupa partyjna. To jest dość skomplikowane, i oczywiście warto, zastanawiając się nad zmianą systemową, która jest niewątpliwa, porównać to z innymi krajami. Mówię to, choć podkreślam polską specyfikę, która również w zakresie dotyczącym partii jest ogromna. Polska jest bardzo szczególna i jest bardzo różna od innych KDL, co jest konsekwencją roku 1956. Przejawia się to też w zachowaniu aparatu partyjnego i w pewnym zakresie jego relacjach z aparatem administracyjnym, ale przede wszystkim relacjach ze społeczeństwem, z obywatelami. Zgodziłbym się, że partia się z jednej strony „uspołecznia”, czyli jest bliższa przeciętnemu Polakowi, a z drugiej strony się biurokratyzuje, staje się elementem aparatu biurokratycznego, aparatu zarządzającego różnymi dziedzinami życia. W pewnych zakresach deleguje więcej swoich funkcji do administracji, np. w zakresie gospodarczym. Aparat PZPR niby to rozbudowuje wydziały KC, zajmujące się sprawami przemysłu, ale one są niewielkie i generalnie ciężar podejmowania decyzji, ich przygotowywania przesuwa się w kierunku struktur rządowych. Ale na przykład w zakresie kultury czy oświaty niezupełnie tak jest. Aparat rządowy, jak sądzę, jest raczej tym, który rozpisuje różne decyzje na szczegóły, ale kluczowe decyzje są podejmowane w KC i nawet szczegółowe dyspozycje są zatwierdzane (czy w każdym razie parafowane) przez bardzo ważne osoby w partii. Jest to więc zróżnicowany system, ale jeśli się kreśli takimi grubymi liniami, to trzeba powiedzieć, że wszystko razem to jest jedna biurokracja, w której powstają różne mechanizmy podejmowania decyzji i potem ich kontrolowania.

Łukasz Kamiński – Jeśli można na zasadzie wtrącenia – po 1956 jest mniej akcyjności, w systemie stalinowskim była nieustanna mobilizacja do jakiejś akcji, później dominuje raczej regularna działalność.

Andrzej Friszke – No, właśnie. Zdaje mi się, że to jest dosyć typowe dla systemu biurokratycznego, który bardzo nie lubi akcyjności. Ten system po prostu staje się wygodny dla tych, którzy w nim uczestniczą, bo lubi ustalone procedury, ustalone mechanizmy działania. Nie lubi akcji, nie lubi gwałtownych zmian. Obudowuje się mnóstwem przepisów prawnych, które go chronią...

Konrad Rokicki – I rozmywa odpowiedzialność.

Andrzej Friszke – ...i rozmywa odpowiedzialność. Tak. Myślę, że to była jedna z głównych przyczyn różnych kryzysów, o których będziemy potem mówili. One nie mają tylko charakteru, czy też – w mniejszym stopniu mają charakter kryzysu polityczno-ideologicznego, a właśnie powstają w wyniku konfliktu z biurokracją i z jej sposobem zaspokajania ludzkich potrzeb, reagowania na różne wyzwania.

To wszystko, o czym mówimy, powoduje, że ta partia rzeczywiście się w jakimś sensie unaradawia. Unaradawia się również w złym tego sensie, trzeba przypomnieć rok 1968 z jego erupcją antysemityzmu i antyinteligencji. Przez kilka lat do roku 1968 PZPR przeszła długą drogę. Przecież tego języka, „wartości” w cudzysłowie, mechanizmu pozyskiwania poparcia społecznego kilkanaście lat

wcześniej nie można było sobie wyobrazić. Jeżeli partia robi to, co robi, posługując się takim językiem, takimi „wartościami”, takimi kliszami propagandowymi, jak w 1968 r., to o czym to świadczy? O tym, że ona przeszła ogromną drogę w zakresie tego, co można, co jest dopuszczalne w polityce, jakimi się kieruje pryncypiami, jakich pryncypiów broni. Świadczy to o ogromnej zmianie wewnętrznego systemu wartości również w warstwie ideologicznej, to raz. A dwa, świadczy o kompletnej bezideowości w tej warstwie szerszej, w tym odwołaniu się do pewnych grup społeczeństwa.

Skoro jednak mówimy o bezideowości, to również w takim sensie, że w tym obszarze administrowania codziennego szkołą, zakładem pracy, na tych niskich szczeblach, mało jest kwestii ideologicznych, tam są przede wszystkim problemy zarządzania i załatwiania bardzo konkretnych spraw. To się wysuwa na plan pierwszy i potęguje ten element biurokratyzacji władzy.

Pojawił się tu wątek partyjności i bezpartyjności. Oczywiście, zgadzam się, że partia się umasawia i w prawie każdym środowisku mamy partyjnych, zwykle nawet w rodzinie. A jednak są różnice dotyczące postrzegania partyjności w poszczególnych grupach społecznych. I to jest dość ważne. W pewnych grupach społecznych przystąpienie do partii jest całkowicie akceptowane, a w innych – nie bardzo, to znaczy akces do PZPR jest dużym problemem. Wydaje się, że zapisanie się do partii jest dość szeroko akceptowane w środowisku robotniczym, w środowisku inteligencji technicznej, ale na przykład wśród nauczycieli, to już zależy, jakiego przedmiotu. A wśród lekarzy chyba nie za bardzo, bo – jak pamiętam – procent lekarzy partyjnych jest bardzo mały, i o czymś to świadczy. A wśród tzw. starej inteligencji przynależność do PZPR tworzy znaczny dysonans; jeżeli ktoś w rodzinie się do partii zapisuje, jest to powód do zmartwienia. A z kolei wśród młodej inteligencji, tej pochodzenia chłopskiego, jest to absolutnie naturalne. To zróżnicowanie warto próbować opisać, bo ono pokazuje też zróżnicowanie społeczeństwa w stosunku do systemu. Ono jest inne niż w latach pięćdziesiątych, ale nadal istnieje. Czyli poczucie dystansu, określenia tego, co wypada, co nie wypada. To jest dość istotne, a nieopisane. Świda-Ziemia próbowała to jakoś opisywać, jeszcze raz ją tutaj wspomnę, bo jej książki są fundamentalne.

Błażej Brzostek – Dodam parę kresek do szkicu. Pierwsza kreska: Polska po wojnie staje się państwem homogenicznym narodowo, a te mniejszości, które istnieją, są albo rozprasane, albo wchłaniane. A jeżeli nie zostają wchłonięte, staną się obiektem stygmatyzacji. Polska jest homogenizowana narodowo ku powszechnej akceptacji społecznej. Społeczeństwo życzy sobie homogenizacji w pierwszym odruchu powojennym. Na tle tej homogenizacji obcość władzy i systemu politycznego rysuje się jako problem bardzo ważki. Jeżeli „jesteśmy wreszcie we własnym domu”, to problem władzy rysuje się jako problem centralny. I z tego będzie wyrastać, moim zdaniem, silny odruch antysemitki. Oczywiście, na podłożu wielu warstw antysemityzmu wcześniej ukształtowanych. Ujawni się on z wielką siłą około 1956 r. i znowu 12 lat później. Konsekwentnie zresztą sytuacja ta będzie, według mnie, akceptowana przez część aparatu władzy, która będzie z niej korzystała. Aparat okresu gierkowskiego będzie, ogólnie mówiąc, aparatem, który skorzystał na czystce antysemitki lat wcześniejszych, co będzie miało w jego świadomości istotne miejsce.

Druga kreska: to jest społeczeństwo w połowie wiejskie. Do połowy lat sześćdziesiątych połowa mieszkańców Polski żyje na wsi. A na wsi partia działa inaczej niż w mieście, w zasadzie działa mało. I tutaj nasuwa się pytanie o rolę ZSL. To byłoby badanie terenu wiejskiego i tego, jakie rzeczywiste znaczenie miał tam ZSL, a także – szerzej – wiejskie struktury solidarności i struktury oporu. Ta wieś oddycha po 1956 r. z ulgą, świadoma tego, że kolektywizacja przestała być tak istotnym zagrożeniem. Ta wieś jest niezadowolona z obowiązkowych dostaw, jest niezadowolona z braku ubezpieczeń i z wielu innych powodów. Ale czego ona żąda? Żąda inwestycji. Świadoma, że inwestycje idą przede wszystkim do miast, co powoduje wychodźstwo ze wsi ludzi młodych, którzy nie widzą dla siebie perspektyw, a odziedziczenie gospodarstwa po ojcu staje się coraz mniej atrakcyjne (przynajmniej z dala od wielkich miast, bo w pobliżu wielkich miast można sprzedawać łatwo swoje produkty albo zostać chłoporobotnikiem). Wieś się w związku z tym starzeje się i bardzo to wpływa na jej wydolność ekonomiczną. To będzie problem okresu gierkowskiego, gdy pojawiają się próby pobudzenia tej wydolności przez stworzenie nowej grupy farmerów itd. Nie wiem, jakie było działanie rzeczywiste PZPR na terenie wiejskim, a chciałbym się dowiedzieć. Pewnie to moja wina, że nie wiem.

Druga część narodu żyje już w miastach. W 1970 r. w Polsce jest około 900 miast, ale połowa spośród tych miast ma łączną ludność równą zaludnieniu ówczesnej Warszawy. To znaczy, że w połowie miast polskich mieszka około miliona ludzi. Są to małe miasteczka po 2–3 tys. ludzi, 5 tys. Z tej drugiej połowy, połowa to są miasteczka poniżej 10 tys. Czyli przeważająca większość Polaków mieszka w środowisku mało anonimowym społecznie, o silnych strukturach solidarności, gdzie się „wszyscy znają” i gdzie nawet agenci władzy „przywożeni w teczce” muszą się liczyć z siłą społeczności lokalnej. Te społeczności mają, co widać wyraźnie w różnych badaniach z lat sześćdziesiątych, ogromny apetyt modernizacyjny. Chcą, żeby im zbudować fabrykę czy choćby filię fabryki, doprowadzić szosę. Tego żądają od władzy. Lokalni przedstawiciele aparatu władzy są oceniani nie w stosunku do tego, czy oni są z PZPR (oczywiście są), tylko – co potrafią załatwić. Dlatego do dzisiaj istniejące lokalnie sentymenty po pewnych działaczach, którzy są zupełnie inaczej oceniani na poziomie regionu, a inaczej na poziomie centrum politycznego, prawda? To jest – moim zdaniem – niezwykle istotna sprawa. Wokół gier o inwestycje, o zainteresowanie centrum władzy, o pozyskiwanie pieniędzy, o budowę szkoły itd. rozgrywa się spektakl władzy, w którym – jak sądzę – postawa akceptacji jest postawą bardzo silną, tzn. jeżeli nie będziemy akceptować tych ludzi i tej władzy, to niczego nie osiągniemy. Oto sposób myślenia społeczności lokalnych. O tym chciałbym się dowiedzieć od badaczy, ponieważ ówczesna Polska jest Polską lokalną.

Łukasz Kamiński – Zwłaszcza z perspektywy sytuacji pokryzysowej, czyli po 1957 r., z perspektywy lokalnej, mamy tak naprawdę do czynienia z kształtowaniem się wzajemnych relacji, bo pojawiają się wielkie aspiracje ZSL, do którego wraca część działaczy PSL, do tego, żeby jeśli nie w skali kraju, to przynajmniej w skali lokalnej, powiatu, gminy, odpowiadać za to, co się dzieje. Jest to kolejne pytanie badawcze, jak wygląda ten proces kształtowania się wzajemnych stosunków i czy on się wszędzie tak samo ukształtował. Czy z perspektywy 300 powia-

tów, czy w każdym z nich rola ZSL jest z grubsza podobna, czy na przykład są jakieś różnice lokalne?

Andrzej Friszke – To jest ważny problem. ZSL po 1956 r. próbował się wybić na częściową niezależność. Chciał stać się partią w jakimś sensie współrządzającą w tym zakresie, o jakim mówiłeś. I pod koniec lat pięćdziesiątych odbyła się tam ostra walka polityczna. Zarówno wewnątrz ZSL, jak w relacjach ZSL – PZPR. Decydujący, popaździernikowy okres tego sporu zakończył się między innymi wymianą Stefana Ignara na Czesława Wycecha. Chodziło o to, czym ma być ZSL. I to nie dotyczyło tylko Ignara i Wycecha czy paru działaczy centralnych, ale też licznych lokalnych. Rzecz jest niewątpliwie warta zbadania, gdyż pokazuje – na pewno w ZSL, być może też w SD – próbę określenia miejsca tych ugrupowań w kształtowaniu ogólnej polityki społecznej, gospodarczej, w relacjach do tych warstw, które te stronnictwa mają reprezentować. Ten spór kończy się oczywiście wygraną PZPR. Ale wygraną na jakich zasadach? W jakim zakresie? PZPR, choć znowu monopolistyczna w pełni, musi do pewnego stopnia liczyć się z tym, co pokazał ten okres popaździernikowy, przynajmniej przez jakiś czas musi się liczyć.

Błażej Brzostek – Na tym właśnie lokalnym poziomie funkcjonowanie partii satelickich jest, moim zdaniem, faktem o istotnym znaczeniu społecznym. Pozwala ono na wywalczenie sobie w obrębie tych układów politycznych pewnej niezależności przez wielu ludzi, na przykład nauczycieli, którzy mogą powiedzieć, nagabywani przez szefa POP, że nie zapiszą się do partii, bo zapisują się do ZSL. Znow przykład Rumunii: przy jednopartyjności system działa inaczej, tam nie ma ucieczki od nagabującego kierownika, dyrektora, czy raczej jest to ucieczka w ramiona Securitate. Natomiast w Polsce jednak na pewnym poziomie życia społecznego była autentyczna „porcja wolności” wnoszona przez te partie, które oglądamy przeważnie z perspektywy zjazdów, dokumentów programowych itd. i które wydają nam się zupełnie nieistotne w grze o władzę.

Konrad Rokicki – W tzw. terenie, w działaniach lokalnych być może te próby autonomizacji przynosiły jakieś skutki wymierne dla lokalnej społeczności. Ale na szczeblu centralnym jak się kończyły? Wiele mówi przykład Dyzmy Gałaja, marszałka z ZSL, który w pewnym momencie uwierzył, że może być prawdziwym marszałkiem sejmu, miał swój program. Chyba określenie go programem politycznym byłoby jednak na wyrost. On chciał po prostu naprawdę kierować pracami sejmu, tak jak to nominalnie wynikało z jego uprawnień. I został momentalnie sprowadzony do rzeczywistości. Oczywiście, zawsze wicemarszałek sejmu z ramienia PZPR był ważniejszy, to on sprawował partyjny nadzór nad pracami sejmu. Co więcej, Gałaj został szybko usunięty przy pomocy własnych kolegów z ZSL, bo tam już stało duże zaplecze działaczy, którzy byli dużo bardziej przekonani do współpracy z PZPR, którym odpowiadał stary schemat. Jak to powtarzał każdy w zasadzie kolejny I sekretarz KC PZPR, były granice, których przekroczyć nie można.

Błażej Brzostek – Jeśli można, jeszcze nakreślę dwie kreski. Pierwsza: sprawa walk wewnętrznych w obozie władzy. To jest bogato opisane, ale jednak ciągle

trzeba o tym mówić. Gomułka był starym komunistą, wychowanym w przedwojennej szkole partyjnej, która uznawała wszelkie podziały w Partii za śmiertelne niebezpieczeństwo. Partia nie może być podzielona, nie może być żadnych objawów pęknięć, bo ułatwiają one – tak w okresie przedwojennym – inwigilację przez tajną policję, w okresie okupacji oznaczają zaś nawet krwawe walki wewnątrz partii, nieobliczalne w skutkach, a w warunkach PRL – rozgrywanie polskiej polityki przez „czynnik zewnętrzny”. Podziały w partii i rywalizacje frakcji oznaczają większy wpływ Moskwy, co było, moim zdaniem, ważnym elementem myślenia Gomułka. W związku z tym on niszczył wszelkie objawy podziałów frakcyjnych (a te walki frakcyjne od połowy lat pięćdziesiątych były potężne), ale nie mogło się na tym skończyć, ponieważ dynamicznych zmian w obozie władzy, zresztą bardzo rozległym, nie dawało się wyhamować. Gomułka mógł karać wyraźnych dysydentów, lecz nie mógł zatrzymać procesów różnicowania się całej bazy obozu władzy.

Jaka była rzeczywista baza społeczna władzy? Według mnie, to, co się działo w latach sześćdziesiątych, oznaczało daleko idącą zmianę reguł działania politycznego w PRL. Oto polityk czołowy, jeżeli chciał odgrywać rolę samodzielną, musiał sobie szukać poparcia bazy obozu władzy. Dlatego Moczar działał tak, jak działał, on nie mógł działać na zasadach dawnych – sekciarskich. Gierek też. Oni musieli budować sobie rozległe zaplecze.

I ostatnia kreska: elementy bazy ówczesnego obozu władzy. Pierwszy bardzo ważny element to nowa inteligencja techniczna. To obsługa wielkiego przemysłu, który urósł w międzyczasie, z którego istnieniem i rozwojem są związane kariery setek tysięcy inżynierów i działaczy aparatu partyjnego, w którym taka „frakcja inżynierska” zaczyna się wyraźnie kształtować. Będzie ona wywierać naciski na Gomułkę pod koniec lat sześćdziesiątych, a później będzie podstawą panowania Gierka. To właśnie ta technokracja.

Łukasz Kamiński – W „Solidarności” też.

Błażej Brzostek – To był bardzo ważny fenomen. Sama baza partyjna zaś stała się tak ogromna, zachodziły w niej takie zróżnicowania socjologiczne i polityczne, że coraz trudniej było ją kontrolować w sensie ideologicznym. Mogły się w niej gnieździć takie idee i praktyki, jak moczaryzm. Gomułka nie umiał opanować moczaryzmu i musiał, jako polityk – co znamy z różnych systemów jako model działania politycznego – dostosować się do tych warunków, przejąć część dyskursu moczarowców i później stopniowo wygaszać konflikt. Robił to w roku 1968. Zjawisko miało charakter bardzo poważny. Zrobię tu znów porównanie z Rumunią, w której narastały tendencje podobne. Tamtejszy „moczaryzm” prowadził jednak skutecznie do nowego ukształtowania obozu władzy. W Polsce Moczarowi się nie udało, w Rumunii Ceaușescu wykorzystał nacjonalizm w praktyce rządzenia.

Konrad Rokicki – Ale ta baza partyjna jest zupełnie niesprawna w latach sześćdziesiątych i to jest częściowo odpowiedź na to pytanie o wzrost znaczenia aparatu bezpieczeństwa w tych latach. O ile w latach stalinowskich podstawowe organizacje partyjne czy inne komórki partyjne zupełnie wystarczały, żeby kontrolować sytuację we wszystkich środowiskach – tak mi się wydaje – o tyle po

przemianach roku 1956, w 1957 r. też, rola partii we wszystkich środowiskach się kurczy. Ja to badałem na przykładzie literatów i w ogóle środowisk twórczych i tam rzeczywiście podstawowe organizacje partyjne nie służą już do kontroli, nawet są coraz słabsze w sferze informowania kierownictwa partyjnego, co się dzieje w ich własnych środowiskach, we wdrażaniu postanowień, które idą z góry. W tym środowisku literackim ich organizacja jest na tyle słaba, że w zasadzie aparat bezpieczeństwa staje się w sposób naturalny głównym źródłem informacji dla pierwszego sekretarza. Z tego wynikał wzrost znaczenia komórek bezpieczeństwa.

Błażej Brzostek – A z czego ta słabość wynika? Czy z tego, że jest „oswojona” już partia przez to środowisko?

Konrad Rokicki – Nie, z tego, że upada niemal kompletnie wiara w ideologię. Język partyjny jest sztuczny, od dyskusji członkowie partii uciekają, nie wierzą w możliwość wpływu na decyzje kierownictwa – i w znacznej części nie chcą firmować jego polityki w swoim środowisku.

Łukasz Kamiński – Czy mogę podjąć jeszcze jeden wątek? To najcieńsza z tych kresek, którymi kreślimy obraz, ponieważ chyba najmniej o niej wiemy, to kwestia roli Moskwy w całym tym procesie. To trochę nam umknęło. Oczywiście, zgoda, że następuje pewne uniezależnienie, dużo więcej decyzji podejmuje się w Warszawie niż w Moskwie, ale to nie znaczy, że ten czynnik nie działa. I tutaj mamy nadzieję na rezultaty nowych badań. W tej chwili rozpoczęliśmy badania w Rosyjskim Państwowym Archiwum Historii Najnowszej. I tam są całe rolki mikrofilmów z poszczególnych konsulatów, które zawierają sprawozdania ze spotkań z polskimi towarzyszami. To jest pierwszy element, wiemy, że taki mechanizm przekazywania informacji istniał. Trzeba będzie to w przyszłości zbadać, czy on się przekładał na przykład na kariery tych ludzi. Czy ci, którzy chętnie do konsulatu chodzili i szczegółowo informowali, co się w partii i państwie dzieje, czy oni na tym zyskiwali, czy nie.

Andrzej Friszke – Coś jednak wiemy i może to, co wiemy, spróbujmy w paru zdaniach opowiedzieć. U Gomułki tacy, co chodzili często do ambasady sowieckiej, nie budzili zaufania, to był negatywny wskaźnik do ich kariery. Gomułka bowiem starał się skomasować pod swoją kontrolą w zasadzie całość kontaktów z „radzieckimi”, jak oni mówili. Chciał mieć kontrolę nad tym, co tam na Wschodzie o sprawach polskich się mówi. Natomiast Moskwa była przyzwyczajona do kontaktów nieformalnych, „przyjacielskich”, do grania układami w partii. W 1956 r. miała swoich „natolińczyków”. Stopniowo Gomułka doprowadził do tego, że to z nim się liczone jako autorytatywnym władcą PRL. Ale nim do tego doszło, Chruszczow potrafił okazywać nieufność i lekceważenie. Przypominam zapis spotkania Gomułki i Cyrankiewicza z Chruszczowem na Krymie w 1957 r. Możemy tam przeczytać, jak Chruszczow grozi i mówi brutalnymi słowami, m.in. o Cyrankiewiczu „ten łysy”. I grozi, że jeżeli władze w Warszawie nie będą robiły tego, co Moskwa chce, to oni się porozumieją z Niemcami. Straszne słowa tam padają, w ogóle dość przerażający jest sens tej rozmowy. Ale potem mamy różne inne świadectwa spotkań, rozmów, gdzie to się uspokaja. Ogromny materiał

do przemysleń daje tom *PRL–ZSRR 1956–1970* wydany w 1998 r. ze wstępem prof. Paczkowskiego.

Gomułka w gruncie rzeczy zapanował nad tym kanałem moskiewskim, co skutkowało rozpadem frakcji natolińskiej. No, ale oznacza to też właśnie to, że w ważnych sprawach Gomułka reprezentuje linię Moskwy i w konflikcie sowiecko-chińskim, po krótkich wahaniach opowiada się po stronie Moskwy. Chociaż z 1956 r. ma dług wdzięczności wobec Pekinu. W sprawach relacji z Zachodem opowiada się twardo po stronie Moskwy. Prócz kwestii ideologicznych i kwestii przyjęcia na siebie roli jedyne go partnera i rozmówcy Kremla, decyduje o tym ogromna nieufność wobec Niemiec i groźby porozumienia sowiecko-niemieckiego ponad głową Polski, zwłaszcza bez uznania granicy na Odrze i Nysie. Jest zatem lojalny wobec Moskwy i antyzachodni. No i ostatecznie – to jest bardzo ważna sprawa – w 1968 r. w sprawie Czechosłowacji Gomułka nawet nie opowiada się po stronie Moskwy, ale jest jeszcze twardszy. Jest bardziej moskiewski niż Moskwa w dążeniu do zduszenia Praskiej Wiosny i interwencji. Dlaczego? Ponieważ jest wrogiem liberalizacji, otwierania się na Zachód, ocenia, że Zachód będzie w sprawach Polski realizował interesy niemieckie. To wszystko jest dosyć skomplikowane, ale w związku z tym nie sędzę, by można uznać, że Moskwa prowadzi jakąś grę frakcyjną przeciwko Gomułce. Ale oczywiście wpływ ma i daje sygnały, kogo uważa za pożądanego następcę. Cały ten mechanizm bardzo utrudnia podejmowanie jakichś gestów niezależności. Na przykład przy zerwaniu stosunków z Izraelem w 1967 r., w zasadzie tu nie ma pola do dyskusji.

Łukasz Kamiński – Chociaż przykład Rumunii pokazuje, że to nie było wykluczone.

Andrzej Friszke – Ale Rumunia jest bardzo specyficzna i odległa od tego głównego szlaku Wschód – Zachód. To jest pierwsze. Drugie, gdy zastanawiamy się nad tymi antysemitycznymi akcjami, to sędzę, że Moskwa wpływała na ich kształt. To się przecież zaczyna od wywiadu, a więc służby szczególnie powiązanej z Moskwą. Kolejna rzecz, to jest pozycja Moczara i jego aspiracji do przywództwa. Na Kremlu jasno jest powiedziane w 1970 r., że Moczar nie powinien być następcą Gomułki. A zatem Moskwa miała kontrolę generalną, w pewnych sprawach bardziej szczegółową, zapewne dotyczy to też zakresu inwestycji gospodarczych i ich kierunku. Ale to nie było ręczne sterowanie. Nie ma porównania z tym, co było w roku 1953 czy 1954.

Grzegorz Waligóra – Proponuję zakończyć na tym stwierdzeniu, bo jeszcze chciałbym na koniec zadać kolejne pytanie o „trzecią siłę” w państwie, czyli o Kościół. Jak wygląda w tym okresie przejściowym, środkowego PRL sytuacja Kościoła? Skąd się bierze jego niezależność? I w tym przypadku istotną cezurą kończącą ten okres jest wybór Karola Wojtyły na papieża. Jak można ten okres scharakteryzować? Czy można wyróżnić jakieś składowe elementy w ciągu tych kilkunastu lat?

Łukasz Kamiński – Myślę, że chociaż mieliśmy odchodzić od tych wewnętrznych cezur związanych z kryzysami, to jednak w tym wypadku cezura roku 1970 jest

bardzo wyraźna. Tutaj nie chodzi tylko o relacje państwo – Kościół, które się zmieniają, może nie co do istoty, ale co do form na pewno. Ważniejsza jest odpowiedź na pytanie o relacje Kościół – społeczeństwo. I tu znowu mniej wiemy. Oczywiście, znamy wiele przykładów masowych wystąpień w obronie Kościoła, zwłaszcza na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, kiedy mamy falę odgórnego przymusowej laicyzacji; nawet konflikt milenijny można postrzegać w kategoriach wsparcia dla Kościoła. Natomiast można zadać pytanie właśnie o skutek dla tych relacji wspomnianej zmiany w stosunkach państwo – Kościół. Gorący konflikt kończy się jeszcze przed Grudniem '70, po milenijnym starciu obaj przeciwnicy są zmęczeni, koniec dekady jest tak naprawdę spokojny. Nie dochodzi do otwartych starć. Czy to powoduje jakieś osłabienie, a może umocnienie, pozycji Kościoła w relacjach ze społeczeństwem? W pewnym stopniu zaburza się dotychczasowy obraz, mamy dwóch walczących tytanów i trzeba wybrać między jednym a drugim. Rodzi się pytanie, czy da się to zjawisko przełożyć na przemiany obyczajowe, w jakimś stopniu odejście od tradycyjnego systemu wartości, zwłaszcza z perspektywy wiejskiej. A także, czy to się w jakikolwiek sposób przekłada na przemiany soborowe w samym Kościele. Jak wiadomo, hierarchia, zwłaszcza sam prymas Wyszyński, podchodzi do nich dość ostrożnie i uważa, że to nie jest do końca propozycja dobra ze specyficznej perspektywy Kościoła polskiego, jako umiejscowionego w warunkach reżimu komunistycznego. Te przemiany później, są wolniej lub szybciej, ale jednak wprowadzane w życie. Jeszcze na koniec postawiłbym pytanie o to, co się dzieje między dekadą lat sześćdziesiątych a dekadą lat osiemdziesiątych? Wtedy mamy znowu zwrot i Kościół nie ustawia się w pozycji głównego przeciwnika, bo mamy silną opozycję, mamy „Solidarność”, ale jest postrzegany jako azyl, jako odskocznia od tej trudnej rzeczywistości lat osiemdziesiątych. I myślę, że lata osiemdziesiąte w zakresie relacji społeczeństwo – Kościół dużo bardziej niż siedemdziesiąte przypominają lata sześćdziesiąte. Powstaje pytanie, co jest źródłem zmiany. Czy tylko i wyłącznie wybór Karola Wojtyły? Takie widzę problemy w tym obszarze. Ponownie – bardziej pytając, niż udzielając odpowiedzi.

Konrad Rokicki – Ja tylko króciutko, bo jakoś nigdy mnie te relacje partia – Kościół, czy społeczeństwo – Kościół specjalnie nie interesowały. Podkreśliłbym ten fakt, że w tym stereotypowym obrazie ICH, partia kontra Kościół, za którym naród stoi murem, mamy w latach gomułkowskich jeden duży wyłom. Zresztą wyłom, który też jest o tyle ciekawy, że to jest – mówiliśmy o tym, że nie ma już w tych czasach dawnej „akcyjności” – a tu właśnie była akcja o gigantycznych rozmiarach i natężeniu. Oczywiście chodzi o kampanię propagandową przeciw orędziu biskupów polskich do biskupów niemieckich i mnóstwo odgłosów społecznych (niektóre oczywiście organizowane przez partię, a niektóre zupełnie oddolnie powstające), które świadczyły o tym, że ta kampania, ta propaganda w tym momencie była jednak skuteczna. Pamięć II wojny światowej i pewne niezrozumienie przez społeczeństwo intencji tego przesłania, przynajmniej w pierwszym momencie recepcji tego listu. My dziś zupełnie inaczej na niego patrzymy... Wówczas to był wielki sukces, jeden z niewielu sukcesów władzy w walce z Kościołem. Wiemy też, że po epoce Gomułki, w latach gierkowskich, tym bardziej było widać, kiedy ta idea była pewnym parawanem, za którym chowała się partia. Widać było, że w tym wielkim sporze ideologicznym partia – Kościół, to nie partia będzie sumieniem narodu,

do czego w zasadzie wzywał Gomułka w swoich bataliach z Wyszyńskim (także w sporach z inteligencją rzucał to hasło, że to partia jest sumieniem narodu). Tę rywalizację przegrał oczywiście.

Andrzej Friszke – To jest oczywiście cały węzeł skomplikowanych problemów i nawet nie będę próbował się do wszystkich ustosunkować. Powiem tylko parę rzeczy. W Polsce popaździernikowej toczył się spór o to, kto reprezentuje naród. Partia w coraz większym stopniu miała ambicję reprezentowania narodu, legitymizowania się nie tylko w warstwie ideologicznej, ale takiej codziennej. To, co mówił kolega Brzostek, ma tu bardzo duże zastosowanie. Lokalna władza miała załatwiać różne sprawy, ale też poczuwała się do tego, że jest reprezentantem społecznym w dużo większym stopniu niż władza stalinowska, która miała poczucie misji wobec społeczeństwa, przychodziła jak z krucjatą, by nawracać na wiarę komunistyczną. Po 1956 r. natomiast zaczyna się coraz bardziej uruchamiać ten element reprezentatywności. Czasem następowało zdarzenie, a czasem odwrotnie, pogodzenie się lokalnego Kościoła z lokalną władzą. Pewnego rodzaju symbioza. To jest bardzo trudne do zbadania, ale niewątpliwie coś takiego istnieje. W pewnym zakresie spór, a w pewnym zakresie symbioza z władzą lokalną typu administracyjnego, biurokratycznego, nie ideologicznego. Opisanie tego jest bardzo trudne, bo rzecz jest zmienna w czasie i sądzę, że też zmienna w zależności od tego, z jakim typem przywództwa mamy do czynienia po obu stronach. Jaki to jest biskup, z jakimi aspiracjami i co chce czynić? I jaki to jest pierwszy sekretarz? Dlatego mieliśmy biskupów, którzy w latach siedemdziesiątych żyli w symbiozie z władzą, chodzili na wszystkie wybory, mówili, co potrzeba, i nie mieli konfliktów. I mamy takich biskupów, z którymi konflikty były. W połowie lat siedemdziesiątych to byli przede wszystkim arcybiskup Tokarczuk i kardynał Wojtyła. W ciągu tych lat zmieniał się też kler, i to zarówno na wyższym szczeblu, jak i na szczeblach niższych, bo wśród księży też następował proces przystosowania. Pod koniec lat siedemdziesiątych, jak się rozmawiało z proboszczami, to często oni nie byli w żadnej opozycji. Mieli różne sprawy do załatwienia z lokalnymi władzami, nie chcieli awantur i zdrażnień. Partia była dla nich czymś obcym, ale ze względu na ateizm, natomiast sposób sprawowania władzy, czyli dyktatura, nie liczył się w gruncie rzeczy. Ich perspektywa była właśnie taka, jak pan Brzostek to opisał.

Natomiast różne antykościelne akcje Gomułki w latach sześćdziesiątych były walką o przywództwo, o rząd dusz. Kto naprawdę reprezentuje ten naród i ma go nauczać? Kościół czy partia, zatem władza państwowa? Ten system oczywiście nie tolerował sytuacji, żeby było dwóch konkurujących nauczycieli, a zwłaszcza, żeby tym drugim był Kościół. I to z natury rzeczy musiało wywołać konflikt. Ale poza tym konfliktem systemowym i ideologicznym był to bój dwóch przywódców o ogromnych aspiracjach do reprezentowania narodu, i to narodu przeważnie małomiasteczkowego i wiejskiego. Popularność Gomułki w tej części społeczeństwa była ogromna i to wynikało nie tylko z doświadczeń roku 1956, ale w ogóle ze struktury społeczeństwa. Proszę sobie uzmysłowić, że w Polsce w XX w. tylko przez krótki czas mieliśmy reguły demokratycznego społeczeństwa. Przed wojną to też była dyktatura, powiedzmy sobie szczerze. Rządził wojewoda czy starosta mianowany przez BBWR czy Ozon, opozycja mogła krytykować, ale nie miała

wplywu na decyzje. Społeczeństwo było od pokoleń przyzwyczajane do takiego systemu, w którym wybory nie zmieniają władzy. Nie od tego są wybory. Jeżeli to sobie uzmysłowimy, to zrozumiemy pewną łatwość akceptowania tego systemu, o ile nie ma ostrych cech ideologicznych, jeśli nie jest agresywny wobec społeczeństwa. Jest tylko biurokratyczny. Bo taki poniekąd był zawsze. Na to zwracał uwagę w swoich pracach Winicjusz Narojek.

Natomiast, jeżeli popatrzymy na Kościół, jego przekaz wartości i to, czego próbuje uczyć społeczeństwo, odpowiedź jest skomplikowana, zależy od środowiska, które mamy jako punkt odniesienia do analizy. W środowisku wiejskim, małomiasteczkowym, wpływ Kościoła jest – jak sądzę – bardzo duży. Tam Kościół porządkuje nadal system wartości i sposób myślenia o świecie. Natomiast w miastach dużych, w grupach młodych ludzi, w grupach ludzi lepiej wykształconych, ten czas jest okresem szybkiego kryzysu przekazu religijnego i kościelnego. O tym świadczą wtedy powstałe prace socjologiczne, różne, np. księdza Władysława Piwowarskiego. To się okazuje też w czasie kryzysów społecznych, kiedy właściwie moment religijny nie występuje w ogóle w doświadczeniach, postulatach, obyczajowości ruchu sprzeciwu czy to Marca '68, czy Grudnia '70. Te grupy społeczne, bardzo dynamiczne, które określiły kształt tych buntów, a więc studenci i robotnicy, właściwie żyją obok Kościoła, obok religii. Nie znaczy, że ludzie z tych warstw nie chodzą na msze, ale to nie ma przełożenia na ich aktywność życiową, na ich aspiracje, na język wypowiedzi i protestu. Ten podział się bardzo wyraźnie zaznacza.

Posłużę się obserwacją uczestniczącą, sięgnę do własnej pamięci. Dla naszego pokolenia, wchodzącego w życie na początku lat siedemdziesiątych, było oczywiste, że Kościół to jest oddzielna sprawa, ludzie chodzą na mszę lub nie chodzą. Mogą nawet iść na pielgrzymkę, to nie jest problem do dyskusji, tego się nie przenosi do szkoły, do zakładu pracy, na imieniny kolegi. To są sprawy osobiste, intymne. Życie grup koleżeńskich, także kręgów dyskusyjnych, i kwestie religijności to są zupełnie oddzielne sfery. Można powiedzieć, że to jest laicyzacja, choć myślę, że idąca w parze z tym, co się dzieje wówczas na Zachodzie.

Jeżeli popatrzymy na problem Soboru Watykańskiego II i jego recepcji, oraz całego sporu wokół niego, to można powiedzieć, że zwolennicy lub przeciwnicy zmian soborowych odpowiadają na zróżnicowane potrzeby. Przeciwnicy na ogół lokują swoje nadzieje i szukają tego trwałego jądra w warstwach tradycyjnych, mało podatnych na modernizację, a zwolennicy zmian troszczą się i niepokoją przede wszystkim o tych, którzy się szybko się laicyzują i odchodzą od Kościoła. Projekty soborowe, nowe proponowane formy duszpasterstwa, mają dać odpowiedź na sytuację, w której ogromne rzesze społeczeństwa po prostu nie są w stanie myśleć tradycyjnymi kategoriami i poddać się autorytetowi księdza proboszcza dlatego tylko, że nosi sutannę. Dla tej młodzieży, dla inteligencji to jest właściwie inny świat. Tradycjonalizm to jest zamknięta sprawa. Dla nich katolicyzm ludowy jest w ogóle czymś trudnym do zrozumienia, tym bardziej zaakceptowania. Potrzebują innego języka i innych form, bardziej spójnych z ich doświadczeniem kulturowym.

Błażej Brzostek – Właśnie to zupełnie inaczej wygląda, moim zdaniem, po wyborze Jana Pawła II na papieża. Dzisiaj rozmawianie o PRL i o Kościele w PRL

jest trudniejsze, ponieważ zdeterminowane już perspektywą tego pontyfikatu. Przed wyborem Jana Pawła II te zjawiska nie były wcale tak jasne. Moim zdaniem, istotna zmiana zaszła w latach sześćdziesiątych w spojrzeniu zwłaszcza tych młodszych działaczy partyjnych, tych technokratów, urodzonych około 1930 r., którzy jako bardzo młodzi ludzie działali w ZMP, a po latach będą otoczeniem Gierka. Otóż Gomułka był jeszcze człowiekiem pokolenia, które uważało, że z Kościołem trzeba aktywnie walczyć. Widać to wyraźnie w wydanych niedawno *Dziennikach* Zawieyskiego, że od pierwszych dni swojej (drugiej) władzy Gomułka był nastawiony wrogo do Kościoła i do Wyszyńskiego. Uważał ten chwilowy rozejm za rzecz niemożliwą i próbował walczyć aktywnie z Kościołem. Natomiast młodszy, o których wspominałem, sądzili, że całe zjawisko będzie stopniowo wygasać. To im zresztą mówili badacze, socjologowie, którzy używali także teorii i analiz z Zachodu, dowodząc, że laicyzacja jest procesem nieuchronnym. Wynikało z tego nastawienie mniej aktywne, raczej ograniczanie Kościoła poprzez niedopuszczanie do kultury masowej: Kościoła nie było w telewizji, w radiu, w gazetach – oprócz kilku, które tolerowano, oprócz PAX i stowarzyszeń katolickich, które jakoś tam działały, zresztą często przeciwko kierownictwu Kościoła. Ograniczaniem Kościoła było zresztą po prostu budowanie „nowej rzeczywistości”: industrializacja, nowe dzielnice i całe miasta, w których nie było świątyń, bo nie dawano zezwoleń. Tkanka religijna miała zanikać. I tu, oczywiście, wybór Wojtyły był potężnym wstrząsem, który postawił pod znakiem zapytania ten projekt.

Zauważałem w rozmowach, że historycy środkowoeuropejscy bywają zaintrygowani problemem Kościoła w Polsce: „Jak to się działo właściwie, że w Polsce Wyszyński, Kościół mógł tak funkcjonować? U nas to by ich wszystkich pozamykali do więzień, zakończyliby całą sprawę”. No, właśnie, sprawa jest ciekawa, prawda? Oczywiście, kilka rzeczy dość banalnych: to jest zhomogenizowane społeczeństwo, gdzie Kościół katolicki staje się głównym aktorem religijnym. On już był oczywiście przed wojną takim, ale istniały znaczące grupy mniejszości religijnych, które po wojnie funkcjonowały przede wszystkim lokalnie. Natomiast władze nie mogły pozwolić sobie na napuszczanie na siebie Kościołów i wyznań na dużą skalę, to miało ograniczone znaczenie. To nie był Kościół autokefaliczny, tylko Kościół, z którym walka nabierała znaczenia międzynarodowego, istotnego dla obrazu kraju, o który to obraz komuniści także zaczęli dbać. Kościół ten miał charyzmatycznego przywódcę: ten czynnik był niezmiernie istotny. Gdyby prymas był postacią o mniejszym formacie, słabszą psychicznie, nienaznaczoną stygmatami uwięzienia i represji, to „byłoby łatwiej”. Można było próbować grać biskupami, co się przecież działo przez cały czas, ale wiadomo było, że to jest trudne. Walka z Kościołem to była z konieczności niejako osobista konfrontacja z Wyszyńskim.

Andrzej Friszke – Wyszyński jest jednak elastycznym przywódcą. To nie był Mindszenty, który mówił, że komuniści to obcy świat i ich nie uznaje. Wyszyński prowadził dość elastyczną politykę, co między innymi pokazują *Dzienniki* Zawieyskiego, a także szczątki diariusza Prymasa, które ukazały się drukiem. To była twarda polityka, ale jednocześnie było w niej miejsce na realizm i elastyczność. A w latach siedemdziesiątych to już bardzo wyraźnie się zmieniła na

dialog z władzą, a zarazem na otwarcie wobec inteligencji raczej odległej od tradycyjnych zachowań konfesyjnych. I to wszystko łącznie powoduje, że bardzo trudno jest zepchnąć Kościół w sferę takiego tradycjonalizmu zamkniętego. Tego się nie da, Kościół jest aktywny, bo jest też elastyczny, jego przekaz jest słyszalny w różnych i odmiennych grupach społecznych.

Błazej Brzostek – Tu się jawi pewien problem wart opisania. Trochę pisano na temat, bardzo interesujący, spraw z zakresu rywalizacji na poziomie społecznym. Wiadomo, że po 1956 r. Kościół bardzo aktywnie walczył z państwem i prawodawstwem państwowym, jeśli chodzi o pewne sprawy, na przykład kwestię aborcji. W kościołach wisiały antyaborcyjne gazetki, księża wygłaszali antyaborcyjne kazania, czyli spierali się o pewien konkretny. Jak to działało w kontekście społecznym? Wiadomo, że w historii PRL – rok 1978 był rokiem rekordowej ilości aborcji, których było grubo ponad 300 tysięcy. Mniej więcej tyle, ilu się urodziło wtedy w Polsce ludzi. W tymże roku doszło do wyboru Jana Pawła II. W następnym – do papieskiej pielgrzymki, w pewnym sensie ważniejszej nawet niż moment wyboru.

Jest więc jakieś istotne rozejście się takich celów społecznych, widocznych w masie ludzi awansu, którzy od tradycyjnych reguł życia odchodzą. Wspomniana Hanna Świda-Ziemba pisała, że była kształtowana jako dziewczynka w latach trzydziestych w przemożnym lęku przed grzechem. To był element samokontroli emocjonalnej, lęk przed grzechem na poziomie dziecka. W latach siedemdziesiątych jest to sprawa, przynajmniej w miastach, przebrzmiała. Pewne reguły życia seksualnego i obyczajowego też się zmieniają. I jednocześnie Kościół temu społeczeństwu, które się z Kościołem rozchodzi, daje coś innego: ogarnia sferę wartości narodowych, tej wyobrażonej wspólnoty narodowej, które się wydawały zagrożone czy rozmyte.

Jerzy Eisler – Wokół roli odgrywanej w PRL przez Kościół katolicki w ostatnim dwudziestolecu narosło niemało mitów i legend. W odróżnieniu od czasów Polski Ludowej, kiedy to – o ile w ogóle o tym publicznie w oficjalnym obiegu mówiono – zwykle ukazywano Kościół katolicki jako siłę wsteczną, zachowawczą, przeciwną postępowi (cokolwiek miałoby to znaczyć) i niechętną, a nawet wrogą wszelkim procesom modernizacyjnym, po zmianie ustroju (z wyjątkiem niektórych głównie lewicowych, antykatolickich publikacji) Kościół i jego dokonania w PRL prezentowano wręcz bezkrytycznie w jednoznacznie pozytywnych kontekstach. Nie wysilano się przy tym na ogół, aby obraz chociaż nieco nuansować i cieniować. Zatem cały Kościół – wszystkie osoby duchowne i wszystkie kościelne instytucje – zawsze i wszędzie zajmował właściwą postawę, za każdym razem miał rację, absolutnie nigdy nie kierował się własnym, wąsko rozumianym interesem, nigdy też żadni jego przedstawiciele nie wchodzili z władzą komunistyczną w jakiegokolwiek moralnie dwuznaczne kompromisy. Uczciwy i krytyczny (ale w żadnym razie nie wrogi) wobec Kościoła katolickiego historyk niejednokrotnie musiał mieć niemało odwagi cywilnej i determinacji, aby decydować się na publikowanie wyników swoich badań w pełnej wersji. I nie o to chodzi, że to jakaś mityczna cenzura kościelna pełniła funkcję kontrolera i nie dopuszczała do publikacji opracowań w sposób krytyczny ukazujących działalność części

duchowieństwa w Polsce pod rządami komunistycznymi. Taki po prostu był (i jest nadal) klimat społeczny. Często z ironią powtarzam, że w języku polskim – języku ojczystym Jana Pawła II – nie można zbudować zdania w rodzaju: „Nasz Ojciec Święty mylił się, utrzymując, że...” albo „Nie zgadzałem się z Janem Pawłem II...” w takiej to a takiej sprawie. Zdania takie można wypowiadać w najróżniejszych językach świata, ale nie po polsku – nawet jeżeli ktoś chciałby tylko poprawić prostą pomyłkę popełnioną przez papieża.

To samo można powtórzyć w odniesieniu do kardynała Stefana Wyszyńskiego, o którym wolno pisać wyłącznie dobrze albo wcale. Polski Papież określił go pięknym mianem Prymasa Tysiąclecia i wszyscy bezrefleksyjnie powtarzamy to wyrażenie, nie zastanawiając się wcale nad jego głębszym sensem. A przecież nie wiemy i już nigdy nie dowiemy się, czy chodziło o to, że był to największy prymas w tysiącletniej historii chrześcijaństwa w Polsce (tutaj, pamiętając na przykład o wielkich poprzednikach Jakubie Śwince i Mikołaju Trąbie, wolno chyba byłoby mieć wątpliwości), czy też o to, że to prymas, który tak wspaniale i udanie przygotował obchody milenijne (tysiąclecia chrztu Polski), co i tak przecież byłoby wielce zaszczytne w ustach Ojca Świętego.

Pamiętać także stale trzeba o kontekście czasu. Po głębokim kryzysie, w praktyce załamaniu relacji Kościół – państwo w czasach stalinowskim, okres gomulkowski stanowił jakościową zmianę. Nie tylko myślę tutaj o krótkotrwałej normalizacji stosunków w latach 1956–1958, ale – mimo dramatycznego załamania w połowie lat sześćdziesiątych: kryzysu po wysłaniu przez Episkopat Polski pojednawczego listu do biskupów niemieckich oraz gwałtownego sporu o kształt i charakter polskiego milenium, którego integralnym elementem było w 1966 r. dwukrotne niewpuszczenie przez władze PRL papieża Pawła VI na uroczystości milenijne – o całym czternastolecium rządów Władysława Gomułki. Wydaje się też, że od 1956 r. Kościół katolicki w Polsce mimo rozmaitych spowolnień i przyspieszeń w tym względzie stopniowo zaczyna odbudowywać i umacniać swoją pozycję. Zaczyna także coraz częściej i mocniej wchodzić w rozmaite interakcje z władzami partyjno-państwowymi nie tylko przecież w zakresie budownictwa sakralnego.

W latach siedemdziesiątych stosunki Kościół – państwo ulegały powolnej, ale jednak wyraźnej dalszej poprawie, co między innymi było następstwem nader powściągliwej postawy zajętej przez duchowieństwo w czasie dramatycznych wydarzeń w 1968 oraz 1970 r. Umiarkowane i bardzo odpowiedzialne stanowisko zajmowane przez hierarchów pomogło w przełamywaniu napięć w stosunkach z władzą państwową i zaowocowało w niedługim czasie porozumieniem w ważnej kwestii. 1 lutego 1971 r. rząd zapowiedział, że Kościół otrzyma na własność mienie użytkowane dotychczas na Ziemiach Zachodnich i Północnych. Nastąpiło to w czerwcu, a w następnym roku – po ratyfikowaniu układu między PRL a RFN z 7 grudnia 1970 r. przez zachodnioniemiecki parlament – papież Paweł VI dostosował granice diecezji do zachodnich granic PRL. W ten sposób zlikwidowana została przyczyna wielu kontrowersji na linii Kościół – państwo i zarazem został stworzony klimat do poprawy wzajemnych relacji. Gdy w 1976 r. kardynał Wyszyński kończył 75 lat, otrzymał od premiera Piotra Jaroszewicza imponujący bukiet siedemdziesięciu pięciu róż. Władze PRL wystąpiły też z prośbą do Stolicy Apostolskiej, aby Wyszyński – mimo osiągnięcia wieku eme-

rytalnego – mógł jeszcze przez 5 lat pozostawać prymasem Polski. Doprawdy trudno byłoby sobie wyobrazić coś takiego 10 lat wcześniej. Gomułka nigdy nie zgodziłby się na przekazanie przez Cyrankiewicza kwiatów kardynałowi, skoro właśnie od stycznia 1966 r. do listopada 1968 r. nie chciał zgodzić się na wydanie mu paszportu na wyjazd do Watykanu. Jednak to dopiero w momencie wyboru kardynała Karola Wojtyły na papieża w październiku 1978 r. zaszła naprawdę gruntowna i – jak pokazała przyszłość – już nieodwracalna w stosunkach między władzami PRL a Kościołem katolickim. W 1979 r. – inaczej niż 13 lat wcześniej – komuniści po prostu nie mogli już odmówić papieżowi zgody na przyjazd do Polski, skoro była ona jego ojczyzną...

Grzegorz Waligóra – Dziękuję bardzo wszystkim Panom za wnikliwe wypowiedzi i ciekawą dyskusję.

Błażej Brzostek (ur. 1977) – historyk, doktor nauk humanistycznych, adiunkt w IH UW, zajmuje się historią społeczną Europy XX wieku, zwłaszcza Polski i Rumunii. Autor wielu publikacji na ten temat. Opublikował m.in. *Konflikty codzienne 1950–1954* (2002); *Za progiem. Codziennosc w przestrzeni publicznej Warszawy* (2007).

Jerzy Eisler (ur. 1952) – historyk, profesor, dyrektor Oddziału IPN w Warszawie. Autor wielu artykułów z najnowszej historii Polski i Francji. Autor wielu książek i artykułów. Opublikował m.in. *Marzec 1968, geneza, przebieg, konsekwencje* (1991); *Philippe Petain* (1991); *Grudzień 1970, geneza, przebieg, konsekwencje* (2000); *Polski rok 1968* (2006); *Polskie miesiące, czyli kryzys(y) w PRL* (2008).

Andrzej Friszke (ur. 1956) – historyk, profesor, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN oraz Collegium Civitas, członek Rady IPN, Kolegium Europejskiego Centrum Solidarności oraz rady Muzeum Historii Polski. Autor wielu artykułów i książek z najnowszej historii Polski. Specjalizuje się w badaniach nad dziejami opozycji i oporu w PRL oraz emigracji. Opublikował m.in. *Opozycja polityczna w Polsce 1944–1980* (1994); *Życie polityczne emigracji* (1999); *Polska. Losy Państwa i Narodu* (2003); *Anatomia buntu. Kuroń, Modzelewski i komandosi* (2010); *Czas KOR-u. Jacek Kuroń a geneza Solidarności* (2011).

Łukasz Kamiński (ur. 1973) – historyk, doktor nauk humanistycznych, prezes IPN, adiunkt w IH UW. Specjalizuje się w badaniach nad opozycją i oporem społecznym w PRL oraz krajach Europy Wschodniej. Autor wielu książek i artykułów na ten temat. Opublikował m.in. *Polacy wobec nowej rzeczywistości 1944–1948: formy pozainstytucjonalnego, żywiołowego oporu społecznego* (2000); *Drogi do wolności Zagłębia Miedziowego* (2007); *Przed i po 13 grudnia. Państwa bloku wschodniego wobec kryzysu w PRL 1980–1982*, t. 1 (2006), t. 2 (2007); współredagował wraz z Grzegorzem Waligórą *NSZZ Solidarność 1980–1989*, t. 2–7 (2010).

Konrad Rokicki (ur. 1976) – historyk, doktor nauk humanistycznych, pracownik OBEP IPN w Warszawie. Autor wielu publikacji z najnowszej historii Polski. Opublikował m.in. *Literaci. Relacje między literatami a władzą w latach 1956–1970* (2011); współredagował wraz z Sławomirem Stępnem *W objęciach wielkiego brata. Sowieci w Polsce 1944–1993* (2009); współredagował wraz z Robertem Spałkiem *Władza w PRL* (2011).

Grzegorz Waligóra (ur. 1975) – historyk, doktor nauk humanistycznych. Zajmuje się dziejami opozycji demokratycznej w PRL, red. nac. *Encyklopedii Solidarności*, autor książki *Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela 1977–1981* (2006), redaktor edycji źródeł, m.in. *Ruch Wolnych Demokratów 1975–1980* (2003); *Dokumenty uczestników Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Polsce 1977–1981* (2005); *Kryptonim „Gracze”. SB wobec Komitetu Obrony Robotników i Komitetu Samoobrony Społecznej KOR* (2010, wraz z Ł. Kamińskim). Współredaktor wraz z Ł. Kamińskim *NSZZ Solidarność 1980–1989, t. 2–7* (2010)